Nr. 24. Lwów, Niedziela dnia 18. Lutego 1877 r. **Tom IV.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 40 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcja:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracja:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

Nasze Stowarzyszenia.

Ciała zbiorowe mają tak, jak jednostki, swoje chwile obrachunku sumienia za przeszłość, a zastanawiania się nad przyszłością. Dla stowarzyszeń, takiemi ważnemi w życiu ich chwilami są doroczne walne zgromadzenia, kiedy zarządy ich zdają rachunek ze sprawowanych funduszów, zdają sprawę z całorocznej swej czynności lub nieczynności, kiedy wybór nowego zarządu ma nowemi wzmocnić siłami to ciało, które całej zbiorowej pracy w stowarzyszeniu nadaje ruch i kierunek, a powzięcie pewnych zasadniczych uchwał ma na rok cały wytknąć mu drogę.

Druga połowa lutego jest porą, w której rozpoczyna się u nas szereg dorocznych walnych zgromadzeń. Przesunie się tu przed oczyma naszemi obraz w swej rozmaitości zajmujący, a o tyle harmonijny, o ile wypadkową tych wszystkich w stowarzyszeniach czynnych sił jest to, co publicznem dobrem zwiemy. Będą to więc i stowarzyszenia takie, które rozciągając działalność swą na kraj cały, na walne swe zebrania ściągną obywatelstwo z wszystkich kraju okolic, i takie które już z natury zadania swego czysto miejscową mają cechę. Będą stowarzyszenia mające na swym sztandarze cele moralne przeważnie, więc oświatę, kształcenie sztuk i nauk, działalność wreszcie dobroczynną; będą i takie nad któremi idealiści do dziennego porządku przechodzą, a pseudo-poeci pogardliwie wzruszają ramionami, bo celem ich podniesienie rolnictwa, przemysłu, materjalna wzajemna pomoc, wzajemny kredyt, wreszcie wprost zarobek. Kto jednak wolnem od uprzedzenia okiem spojrzy na tę tak różnorodną krętaninę ludzi zebranych pod hasłem pewnego wspólnego celu, przyzna słuszność temu cośmy powiedzieli wyżej, że wypadkową tych różnorodnie działających siłb, ędzie publiczne dobro. Nie samym chlebem żyje naród i rozwija się, ale też i nie samą tylko myślą i uczuciem. Ruch stowarzyszeń u nas, ożywiony dopiero z r. 1868, kiedy listopadowa z r. 1867 ustawa poręczyła jaką taką swobodę stowarzyszania się, zwróconym był pierwiastkowo wyłącznie prawie ku celom moralnym. Że w tym wyłącznym kierunku tkwiła szkodliwa jednostronność, spowodowało rychło przesycenie pewne, które spowodowało upadek kilku w tym okresie zawiązanych stowarzyszeń. Od r. 1873 dopiero zajęliśmy się skrzętniej zbiorową pracą na polu ekonomicznem, znacznie ułatwioną przez wydanie ustawy o stowarzyszeniach zarobkowych i gospodarczych, i odtąd oba kierunki idą równorzędnie. A chociaż niezaprzeczenie w obu jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia, a to co dotychczas zdziałano, jest jeszcze zawsze tylko dobrym początkiem, to jednak właśnie w porzuceniu tej jednostronności, jaka pierwotnie ruchem tym owładnęła, w objęciu już dzisiaj zarówno materjalnych jak i moralnych potrzeb narodu, widzimy zadatek pomyślnych owoców tej zbiorowej pracy.

Zbytecznem byłoby rozwodzić się obszernie nad doniosłością pracy w stowarzyszeniach, nad ważnem ich znaczeniem w życiu narodu. Bo i jakże przekonać tych, którzy oczywistym faktom zaprzeczając, nie pojmują wyższości siły zbiorowej nad siłami jednostek rozbitych, nie uznają znaczenia, chociażby tylko owych materjalnych zasobów, jakie się w stowarzyszeniach z drobnych wkładek zbierają i ku celom wspólnego dobra zwracają, lub wreszcie tych, którzy pojąć nie mogą, iż stowarzyszenia są najlepszą szkołą publicznego życia, szkołą spełniania obywatelskich obowiązków, bo uczą obejmować myślą nie same tylko jednostkowe interesy, lecz wznieść się do pojęcia interesu ogółu, uczą wykonywać kontrolę i publicznej poddawać się odpowiedzialności.

Im bardziej jednak uznajemy wielkie znaczenie stowarzyszeń w systemie pracy organicznej, tem troskliwiej winniśmy ostrzegać przedtem wszystkiem, cokolwiek by szkodliwie na ruch ten działać mogło. Jednym z takich niebezpiecznych objawów, jest ów przyjęty u nas system wielkich firm. Gdy oglądamy się za osobistościami, mającemi zająć przewodnie w stowarzyszeniu stanowisko, albo chociażby tylko brać udział w czynnościach zarządu, najczęściej rozstrzyga nie zdolność, nie fachowa znajomość rzeczy, nie pracowitość i gorliwe oddawanie się sprawie, ale nazwisko, firma, będąca nie raz blichtrem albo tylko ostatnim już śladem pięknej niegdyś przeszłości. Taki przewodnik nie poprowadzi stowarzyszenia ku pomyślnemu rozwojowi, lecz da mu utknąć nieruchomo na jednym punkcie. Drugą wadą, której w stowarzyszeniach dostrzedz można, jest brak czucia i spójni pomiędzy zarządem a członkami przez cały rok, a zetknięcie dopiero na walnem zgromadzeniu, pomimo, iż bardzo wiele statutów otwiera członkom pole działania i w ciągu roku. Sam sobie pozostawiony, nie mający żadnego impulsu od członków, którzy poprzestają na płaceniu wkładki i na udziale w walnem zebraniu, zarząd, nieraz może pobłądzić, albo też popaść w nieczynność, z której wyrwie go dopiero zbliżający się termin walnego zgromadzenia. Takiem zdawaniem wszystkiego na zarząd, w końcu członkowie sami się demoralizują, a pocieszając się myślą, że „bez jednego żołnierza obejdzie się wojna," nie przychodzą nawet na walne zgromadzenie, radzi, że zapłaceniem wkładki już się od dalszych obowiązków uwolnili. Wreszcie musimy niektórym stowarzyszeniom uczynić zarzut braku jawności działania. Na sto trzydzieści prawie stowarzyszeń mających siedzibę swą we Lwowie, ledwie część trzecia ogłasza publicznie czas i miejsce zebrania, i publikuje doroczne swe sprawozdania. A jednak, jako instytucje publicznego dobra, są one do zupełnej jawności obowiązane, są bowiem odpowiedzialne nie tylko przed swymi członkami, ale przed ogółem. Zapoznają też przez to własny swój interes: im większą bowiem przyjęłyby jawność, tem szersza publiczność wiedziałaby o ich istnieniu i działaniu, o ich celach i środkach, tem większym przeto byłby zastęp tych, z którychby można nowych zjednywać członków.

Zwróciwszy uwagę na główne wady, jakie się w niektórych stowarzyszeniach naszych spostrzegać dają, niech nam wolno będzie wyrazić nadzieję, że zdołamy się z wad tych uleczyć, a tem samem unikniemy najgroźniejszego dla zbiorowej pracy niebezpieczeństwa: nieruchomego

utknięcia na jednym punkcie. Przypominamy co powiedzieliśmy wyżej, iż te wszystkie prace są tylko dobrym początkiem, pierwszemi dopiero krokami. Przed nami jeszcze pole pracy tak obszerne a tak różnorodne, że na chwilę ustawać nie wolno, a optymistyczne zadowolenie się tem, co robić zaczęto, byłoby ciężkim wobec przyszłości grzechem. W tej więc nadziei, iż stowarzyszenia nasze rozpoczynając obecnie nowy swój rok administracyjny, uznają potrzebę nieustannego rozwoju i strzedz się będą usilnie wszystkiego, co by je w rozwoju tym powstrzymać mogło, witamy walne ich zebrania serdecznem życzeniem: jak najpomyślniejszych z ich pracy owoców.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Kasztelan stał smutny i zamyślony, ale nie gniewny wcale.

— Moja zacna przyjaciółko — rzekł po chwili — siadaj, uspokój się i jako obwinionemu pozwól mi się więc wytłumaczyć.

— Ale ja cię kochany kasztelanie wcale nie obwiniam.

— Obwiniasz moja dobrodziejko, boć gdybym dla swej satysfakcji domowe szczęście sąsiada zakłócał, zawsze bym był winien sądu i kary. Ale rzeczy się mają inaczej... Ja nad losem tej nieszczęśliwej kobiety boleję i strzegę jej, aby nie zeszła z drogi obowiązków... Stolnikowo nie potępiaj, nie macie pojęcia co ta Achingerowa z mężem znosi, to męczennica... Gdyby nie ja, albo by od niego dawno uciekła, lub oszalała... Wiele złego mówiliście o kuternodze, ale to wszystko jeszcze mało. A potrzeba, aby się bezsilna przewrotność tego niecnika rozbiła o wytrwałość, o zacność tej niewiasty. Wiedziałem i wiem, że mnie posądzaliście i posądzacie, czułem że tracę część szacunku, jaki miałem u stolnikowej, alem spełniał powinność. Pamiętajcie, że ta kobieta jest sierotą, że jest samą bez rady i opieki, i że Achinger czyni z nią co chce. Gdyby ją religijne słowo, otucha jakaś, wreszcie pewna opieka nie osłaniała... ta kobieta mogłaby zgubić duszę swą. Korzystam z tego, że mnie Achinger ma za rozmiłowanego, że mnie może ciągnie w sidła, które dobrze widzę; ale w sposób uczciwy daję jej rady ojcowskie, umacniam słabego ducha, podtrzymuję, wierzcie mi, na drodze prawej; a jeśli przyjdzie mi zdać sprawę przed Bogiem z uczuć i postępków moich, stanę na sąd czysty, z sumieniem spokojnem, wierzcie mi nie kłamałbym i nie kłamię. Otóż cała prawda moja stolnikowo dobrodziejko. Ale z drugiej strony, żebym miał ze strachu ludzkich plotek, z obawy sądów ludzkich, rzucić na pastwę nieszczęśliwą kobietę, którą ratować mogę, tego nie uczynię. Starczy mi spokój mojego sumienia, a że mnie inaczej osądzą niżem wart, że mnie potępią, że przyjaciele nawet może nie ocenią i nie rozumieją, może to być nieszczęściem, nie powinno jednak być w żadnym razie pobudką do zmiany w postępowaniu.

Stolnikowa była poruszoną do głębi.

— Mój kasztelanie — rzekła — zważ sam, czy wszelkie pozory nie były przeciw tobie, szanuję cię i pewnie wierzę jak nikomu więcej. Ale tyś człowiek... i ty słabość mieć możesz. A z drugiej strony powiedz, jeśli postępowanie dwuznaczne jest złym przykładem dla drugich, jeśli na ciebie patrząc, męża poważnego i znanego z cnoty, będą się tłumaczyć twoją mniemaną słabością ze swych istotnych występków? Co tu wybierać, czy dalej brnąć dla wybawienia jednej, szerząc zgubę drugich...

— Stolnikowo — przerwał Żeliga — to coś teraz powiedziała, męczyło mnie; zadałaś pytanie, które sam sobie czyniłem nieraz, nie umiejąc na nie odpowiedzieć. Ale bądźże sędzią chłodnym do ostatka, powiedz czy z każdej czynności ludzkiej nie biorą ludzie pochopu do złego kiedy chcą? czy jam dlatego powinien nie spełniać obowiązku, że oni mogą sobie mój postępek tłumaczyć fałszywie?

Stolnikowa zamilkła zamyślona...

— Abym wam jaśniej się wytłumaczył — dodał kasztelan — opowiem o dzisiejszych odwidzinach u Achingerów. Pojechałem tam czując się potrzebnym, alem sądził że jego zastanę w domu. Wiecie, że na tej długiej grobli, która do dworu prowadzi, widać na przestrzał i pół godziny wprzód poznać można gdy kto jedzie. Ledwie byłem wjechał na nią, patrzę, wyjeżdża biedka ode dworu, bliżej poznałem żółtego kuternogę; stanąłem. — A! panie kasztelanie dobrodzieju! rzecze mi, darujcie, przebaczcie, pilny nader interes do młyna, za kwadrans będę nazad... jedźcie do dworu, ja wnet przybywam. Proszę i błagam. Chciałem koniecznie zawrócić, jak zaczął zaklinać, prosić, męczyć, przysięgać, że powróci wnet, dałem się skłonić, pojechałem... a on zaciął konie, i ze swą biedką ruszył do młyna. Przyjeżdżam do dworu, słudzy już wiedzieli na grobli, żem pana spotkał, puszczają do sali, mówiąc że pani czeka. Jakoż zastałem ją chodzącą wielkiemi krokami, zamyśloną; jak tylko mnie postrzegła, przybiegła prawie płacząc. Ojcze mój — rzekła — dobrze że przybyłeś, ratuj mnie... Nie, ja dłużej tego życia z nim wytrzymać nie będę mogła... On mnie nie kocha, je do niego przywiązania, ani szacunku dlań nie mam; ja ucieknę, pójdę do klasztoru, dam się wykraść... wolę wstyd, hańbę, sieroctwo, nędzę, niż to życie. — Widząc ją tak rozgorączkowaną, począłem zwolna badać, co, jak... ale nic się nie stało nowego; miara tylko cierpliwości jaka jest dana człowiekowi, przebrała się, biedna kobieta znękana, czuła się do rozpaczy przyprowadzoną. Chcecie wiedzieć, jakie to życie z nudziarzem gderliwym, który ma czasem napady złości i gniewu, i który bije ją za to, że milczy i słucha cierpliwie osłupiała jego łajań i znęcań? Wystawcież sobie od rana do wieczora wyrzuty, wymówki, przekąsy, zmaganie się na to aby gniew wywołać, skąpstwo najobrzydliwsze, a razem chęć popisu przed obcemi i posądzenia najbrudniejsze, domysły szkaradne, niewolę upokarzającą, naostatek w dodatku sługi wciągnione w szpiegowstwa, donoszenia, uzuchwalone do postępków względem niej, najboleśniej dotknąć mogących. Z tem wszystkiem cierpiała ona i cierpi wytrwale, ale gdybyś stolnikowa wiedziała co się z nią stało, jak zmieniona, zbiedzona, znędzniona.

Kasztelan westchnął.

— Posądzam—rzekł — tego łajdaka, że podwaja surowość i staje się nieznośniejszym coraz, aby ją zmusić do szukania opieki u mnie, a mnie do stanowczego kroku. Muszę więc zdobyć się na krok istotnie i dla mnie stanowczy... wyjadę.

Oboje Barcińscy zakrzyknęli.

— Dodawszy jej ducha, zachęciwszy do cierpliwego znoszenia tego krzyża, który Pan Bóg na jej ramiona włożył, przyrzekłszy, że wy mnie tu u niej zastąpicie, oznajmiłem już pani Achingerowej, iż na czas oddalić się muszę. Pojadę do mojej pustelni, a później, później może kiedyś do was znów powrócę.

— Kasztelanie — zawołała stolnikowa głosem, w którym płacz i łkanie czuć było, a cóż my nieszczęśliwe sieroty bez ciebie poczniemy? Przywykliśmy do was, nie wyżyjemy już sami. Zostawisz nam pustkę... zlituj się.

— Ja nie puszczę — rzekł stolnik.

— Nie mówmy o tem — odparł Żeliga — muszę jechać, potrzebuję się w ciszy i samotności z mojem też rozmówić sumieniem, uspokoić się i pokrzepić na duchu. Położę się znowu spać w tę moją trumnę, która ziemskiego żywota troski odpędza; będę się modlił, słuchał szumu drzew starych i patrzał na moje niedźwiedzie.

— Ale my na to nie pozwolimy, my cię ubłagamy.

— Nie — rzekł stanowczo Żeliga — com był powinien czynić, uczynię, co teraz należy, dopełnię. Przyszedłem się wam wyspowiadać, pożegnać was, a jutro do dnia już śladu w oficynach nie będzie.

Próżne były namowy, perswazje, prośby, kasztelan milczał smutny, ale trwał uparcie przy swojem, zostawiał im tylko na pociechę nadzieję, że wróci może, a zaklął stolnikowstwo oboje, aby Achingerowej byli opiekunami.

Smutnie więc skończyła się rozmowa, a przeciągnęła długo w noc. Gdy Barciński poszedł odprowadzić swego Żeligę do oficyn, znalazł już wszystko popakowane, pokój ogołocony i gotowość do podróży zupełną. A że na wiosnę świt wczesny, nim znów rozpoczętą gawędę skończyli, zaczęło dnieć, i cicho konie Żeligi zaszły z tyłu po niego. Rozstali się więc ze stolnikiem przy bryczce, a Barcin znowu wydał się straszliwą pustką obojgu biednym starym.

Naturalnie wieść o tym nagłym wyjeździe kasztelana gruchnęła natychmiast po sąsiedztwie, rożne o nim chodziły pogłoski, przyznawano powodom najrozmaitszym to oddalenie niespodziane.

Drugiego dnia po objedzie, siedzieli Barcińscy oboje w ganku, gdy się biedka Achingera zatoczyła ku oficynom. Kuternoga wylazł z niej, popytał ludzi, i wkrótce z zakłopotaną twarzą ukazał się w dziedzińcu. Stolnik się go prawie spodziewał, ale nie tak prędko.

Po pierwszych przywitaniach Achinger siadł, otarł pot z czoła, popatrzał na stolnikowę i zaprosił gospodarza na słówko pilne do jego pokoju.

Mając się na baczności, aby się z czem niepotrzebnem nie wypaplać, ostrzeżony jeszcze przez żonę, aby był wstrzemięźliwym, Barciński rad nie rad powlókł się do sypialni.

— Stolniku dobrodzieju — zawołał ledwie przysiadłszy Achinger — cóż to się stało kasztelanowi, ani się pożegnał, ani powiedział nic, ani się dał domyślać wyjazdu swojego, a tu nagle dowiaduję się, że znikł jak kamfora. Co to jest?

— Ja tego dobrze nie rozumiem — odezwał się stolnik — musiał mieć jakieś ważne interesa.

— A nie mówił nic?—spytał szlachcic.

— Wyraźnie mi tak nie powiedział — odrzekł Barciński; naturalnie rozpytywałem o powody tak nagłego postanowienia, ale niepodobna było nacierać. Może miał jakieś polityczne racje status, senator... czasy są krytyczne... rada ..

— I nie przyznał się po co jedzie?

— Tak głucho mi tylko mówił, że ma pilne interesa... że potrzebuje być w domu.

— A kiedyż powróci?

— Wcale tego oznaczyć nie mógł.

— Ale mniej więcej, obiecywał? nie?

— Stanowczo mi nic nie przyrzekł, odpowiedział Barciński. — Miarkujesz waćpan, że mi też bez takiego przyjaciela, któregom nawykł za domowego uważać. bardzo tęskno... więcem prosił, nalegał, ale to nic nie pomogło.

— Ale cóż mu się stało? spytał Achinger — nie domyślacie się?

— Głowę łamiemy z żoną, nie mogąc dojść przyczyny.

— To niepojęta rzecz, żeby mi też był na odjezdnem choć do zobaczyska powiedział; zerwał się; nie rozumiem.

— Ani ja! — rzekł Barciński.

— Nie domyślasz się? — powtórzył szlachcic.

— Nie umiem, nie potrafię nic dojść, to był człowiek otwarty...

Achinger chodził długo ze spuszczoną głową po izbie.

— A czy pisywać do niego będziecie? spytał.

— Adresu mi swojego nie zostawił.

— Gdzież go szukać? spytał szlachcic, — wiatru w polu.

— Myślę, że się zgłosi do mnie...

Achinger usiadł zakłopotany.

— Ej stolniku, ojcze dobrodzieju — rzekł — gdybyście się ze szlachcica nie naigrywali, powiedziałbym coś...

— A no co? spytał Barciński.

— Ja to coś wiem, co go tak spłoszyło.

— Doprawdy? myślicie...

— Ale to musi *sub rosa* zostać pomiędzy nami.

— Naturalnie, gdy tego żądasz.

— Ja wam powiem na ucho — szepnął Achinger, on... on się w mojej żonce na zabój pokochał.

Barciński odskoczył śmiejąc się.

— Ale co znowu! świta wam w głowie, on, człek poważny, surowy! w zamężnej kobiecie... gdzieżby to być mogło.

— Było, mówię wam, było... — szeptał Achinger tajemniczo — ja się na tem znam, mego oka to nie ujdzie... po póty... po póty...

Szlachcic ręką pociągnął po szyi.

— I od tego to on drapnął! — dodał śmiejąc się.

Barciński udał oburzonego i zdziwionego razem

— Już wy mi tego z głowy nie wybijecie — mówił Achinger — od pierwszego spotkania, gdy się zeszli z nią, całemi godzinami nagadać się nie mogli. Dojeżdżał do jejmości i kiedym był i gdy mnie nie było, bałamucił co się zowie, a postrzegłszy że ja się domyślałem... umknął.

Stolnik nie mogąc wytrzymać, buchnął strasznym gniewem, tupnął nogą i począł burząc się wymyślać, a Achinger śmiechem tylko odpowiedział:

— Cyt stolniku, — rzekł chwytając go za rękę — nie gniewaj się, nie ma czego, przypadki chodzą po ludziach... Zacny człowiek mógł też zaszłapać... ale szczęściem miał do czynienia ze mną, którego ocenić nie umiał .. Bylibyśmy tę sprawę połatali.

Stolnik zaczął machać rękami, nie chcąc słuchać takich herezyj, aż gość go wstrzymał.

— Ale mnie bo asińdziej nie rozumiesz — rzekł gwałtowniej—albo to nie ma konsystorza i rozwodu? Jam nie tyran, mogliśmy się byli jakoś ułożyć ze sobą... coś... w pewien sposób... byłyć przecie praktyki podobne... zgodnym sposobem, bez gniewów, fuków, jabym znowu go nie odarł jak drudzy...

— Słuchaj Achinger — przerwał mu stolnik wrząc — albo ci się przyśniło, alboś ty zwarjował! Nie znasz człowiekaa... żonę swą poczciwą ogadujesz. Do czego to podobne! Gdzieby między poważnymi ludźmi, szlachcicowi senator żonę bałamucił... i potem dał koziołka?

— To tak mu na sucho nie ujdzie — dodał szlachcic—ja mu nie popuszczę... on mi się musi...

Barciński nie dał mu mówić.

— Jakież masz dowody tego bałamuctwa?

— Mam, słuchali moi ludzie podedrzwiami ich rozmów o miłości i djabli wiedzą o czem, postawię świadków, że się schodzili, że mieli konszachty, że ona pisywała do niego, że...

— A gdy on postawi świadków, żeś waszmość wyjeżdżał z domu umyślnie, gdy on przybywał, to co?

— No, to co? — spytał Achinger — gdyby i tak? Już mi to kością w gardle siedziało, robiłem zasadzki, chciałem raz skończyć... A chciał jej, niech rozwodzi i żeni się. Rozwód może być, bom ja ostrożny człeczek! — rozśmiał się kuternoga, jest jedna formalność niedopełniona umyślnie, i ślub mój z nią jak ja chcę to dobry, a jak ja zechcę, nic nie wart.

Barciński popatrzał na niego i ukłonił się.

— Co to ma znaczyć? — spytał Achinger.

— Kłaniam uniżenie,—rzekł gospodarz i postąpił ku drzwiom, które otworzył, kłaniam uniżenie.

Achinger zbył ten afront śmiechem, a drzwi zamknął.

— Kochany stolniku — rzekł — ty znowu jesteś świętym... a my ludzie słabi... nie perz się tak strasznie. Powiesz mi, żem szelma, ale kto nie zrobił szelmostwa ten nie da sobie rady na świecie... anim lepszy anim gorszy od drugich, bliższa ciała koszula niż kaftan. Łaj mnie, łaj, ale co miałem robić, musiałem być ostrożnym.

— Już ja z waszmością nie gadam — rzekł stolnik.

— A ja kochanego stolnika czczę, wielbię, miłuję i poważam, a tych małych jego przycinków nie biorę do serca, przyjmuję jak od ojca. No... szelma jestem... jak mnie widzisz tak mnie pisz, ale szczery i bez obłudy!

Barciński parsknął śmiechem nie udanym, kuternoga swą podłością go rozbroił.

— Gadajże już sobie co chcesz,—odezwał się—ale nie na kasztelana, że ci żonę zbałamucił, raczej ty próbowałeś czy ci się nie uda poczciwej żony użyć do niepoczciwego frymarku... i oto poszedłeś z nosem długim, bo cię rachuba zawiodła.

(C. d. n.)

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

JÓZEF TRETIAK.

(*Ciąg dalszy*).

Spojrzmy teraz na inne sielanki, pisane już pod wpływem francuskiego smaku, i wybierzmy dla porównania te, które uchodzą za najlepsze, a mianowicie: „Laurę i Filona“ i „Pożegnanie z Lindorą.“ Pierwsza z tych dwóch sielanek miała nadzwyczajne powodzenie; śpiewano ją wszędzie, od pałaców do najniższej strzechy zagrodowego szlachcica, i dziś jeszcze można ją posłyszeć w jakimś głuchym zakątku, gdzie smak i wyobrażenia nie rychło się zmieniają, i dziś jeszcze niemal każdy umie pierwszą jej zwrotkę na pamięć. Przyczyną tego powodzenia był fałszywy smak, wyrobiony pod wpływem francuskiej poezji, a przenikający z góry do średnich i najniższych warstw szlacheckich. Powszechnie znaną treścią sielanki jest nieporozumienie i pogodzenie się dwojga kochanków; jest to zresztą jedyna sielanka Karpińskiego z zawiązkiem dramatycznym i w na w pół dramatycznej formie. Pomijam już to, że podsłuchiwanie monologów, których zadaniem jest wyrażać stan duszy tylko dla słuchacza lub widza, jest bardzo niewdzięcznym środkiem dramatycznym. Daleko ważniejsze można zrobić zarzuty sielance: oto od początku do końca nie ma w niej prawdziwego uczucia, bo nie ma prawdziwych postaci. Laura i Filon są postaciami z wymarzonego świata pasterskiego, który służył wyższym warstwom francuskim za pole popisu z galanterją i czułostkowością. To też Laura w dowód miłości obdarza Filona wieńcem różanym, a natomiast odbiera od niego kij, na którym imiona kochanków „obłędnym węzłem związane.“ Filon chcąc wyrazić jak kocha Laurę, powiada:

*

„Gdyby mi Akast dawał swe brogi,
Ze złotem swojej Izmeny,
Rzekłbym: Akaście tyś jest ubogi,
Bo moja Laura bez ceny.“

Laura odwdzięcza mu się podobnie nieznośną deklamacją. Zapewne są niektóre zwrotki szczęśliwe, ale toną w powodzi czułostkowej gadaniny. Wiele zwrotek można by wyrzucić, a całość nicby na tem nie straciła. Sielanka „Pożegnanie z Lindorą w górach“ ma wiele warunków po temu, âby była lepszą od poprzedniej. Jest naprzód o wiele krótszą, łatwiej się więc było ustrzedz gadaniny, a powtóre widocznie osnutą na tle rzeczywistego pożegnania i pod wrażeniem jego napisaną. Kto jest ową Lindorą, nie wiadomo; zdaje się, że nie pani Ponińska, ponieważ ją zwykle nazywał poeta imieniem Justyny. W istocie w niektórych zwrotkach tej sielanki brzmi ton prawdziwego żalu:

Pójdźmy na koniec smutnego Kluczowa,
Tam ją wśród łąki będziemy żegnali,
I choć przed okiem naszym las ją schowa,
My jeszcze za nią będziemy wołali,
Lindoro, cóżeś zrobiła itd.

ale w innych stygnie i staje się konwencjonalnym, nie szczerym,

Pasterze trzody swoje porzucali,
Żeby ją widzieć, a harde z pięknego
Ciała pasterki twarz swą zasłaniały.

albo jak w ostatniej zwrotce:

Nie masz Lindory! czegóż tu czekamy?
Rozbiegnijmy się w różne gór tych strony.

Jednem słowem, tam gdzie poeta zapomina o pasterskiej maskaradzie, tam i uczucia jego wylewają się szczerze, naiwnie i naturalnie; gdzie tego nie robi, tam wnet sztywnieje uczucie, i poezja staje się wymuszoną. W sielance, o której mowa, więcej jest strof z arkadyjska czułych, jak wymownych szczerem, prostem uczuciem.

Takiemi są dwie sielanki, uznane powszechnie za najlepsze. Zdaniem mojem są one o wiele mniej warte od pierwszej sielanki poety, od owej Tęsknoty na wiosnę, z czego wolno mi wyprowadzić wniosek, że zaznajomienie się z francuską sielanką szkodliwy wpływ wywarło na poezję Karpińskiego. Bez tego wpływu poeta śpiewałby tak jak umiał i jak czuł, poprostu, szczerze i naiwnie, nie wdając się w pasterskie czułostki, i zbliżając się do pieśni ludowej, jak to uczynił potem w niektórych pieśniach swoich.

Z reszty sielanek wymieniliśmy już te, w których nie ma francuskich reminiscencyj, i które mogłyby być zaliczone do pierwiosnków poezji Karpińskiego. Nie wszystkie one mają jednakową wartość; niektóre są jakby szkolnemi ćwiczeniami; przeciwnie dwie sielanki „Do Justyny“ (I i XIV) mają niektóre zwrotki bardzo wdzięczne i melodyjne, przypominające lutnię Bohdana Zaleskiego np.:

Justyno moja! Justyno!
Patrz, jak mam usta spieczone:
Jak z oczu moich łzy płyną,
Ach! ty nie patrzysz w tę stronę (XIV).

Wreszcie sielanka „O Justynie“ (XVI) zwraca uwagę dziwną swoją naiwnością i mglistością obrazów. Jest to jakby jakaś pieśń ludowa, zatrzymana w połowie procesu przerabiania się na sielankę. Co się tyczy pozostałych sielanek szkoły francuskiej, to już określiliśmy ich ogólny charakter, i pozostaje mi tylko wymienić te, które się udatniejszą wyróżniają formą. Właściwie dwie tylko zasługują na to: „Dafne i Korydon“ i „Rocznica imienin zmarłej księżniczki Teresy Czartoryskiej.“ W tej ostatniej, którą jak wiemy, rozpoczął poeta swoją służbę poetycką w domu Czartoryskich, jest parę ładnych zwrotek, tylko że do nich przebrnąć trzeba przez wiele strof czczej gadaniny. Oto jak zmarła córka, objawiwszy się matce przemawia do niej:

Róża, która mi kwitnie na głowie,
Nigdy swej farby nie traci;
Niczem się nasze nie psuje zdrowie,
Nikt niem za zbytek nie płaci.
Nasze przyjaźni nas nie zawodzą,
Nasze rozrywki nie nudzą,
Ani nam ostre języki szkodzą,
Ani nadzieje ułudzą.

Do działu utworów treści miłosnej należą niektóre pieśni, zmięszane we wszystkich wydaniach Karpińskiego z innemi pieśniami najrozmaitszej treści. Poeta nie łamał sobie głowy nad rozgatunkowaniem swoich utworów i czego nie mógł, albo sądził, że nie może nazwać sielanką, to nazywał pieśnią. Większa część jednak tych pieśni miłosnych, których ogółem naliczyć można dwadzieścia kilka, zbliża się tonem do sielanek: ta sama w nich ceremonialna czułostkowość, ten sam brak prostoty i głębszego uczucia. Za typ tych pieśni może służyć pieśń III księgi II pt. „Smutek.“ Wszystko tu od początku do końca jest przesadne i manierowane: i kochany Filon, co odjeżdżając, zabiera swoje oczy, a zostawia żal niezrównany, co tłoczy cierpliwie serce, i Lindora trapiona smutkami, i jej łzy i jęki, co się kłócą ze strumieniem i krzewiną. Wszystko to naturalnie w swoim czasie bardzo się podobało, i poeta tak w tej pieśni, jak w innych do niej podobnych, stosował się tylko do powszechnego smaku.

Ale jest kilka pieśni miłosnych o zupełnie innym tonie. W nich talent Karpińskiego otrząsa się z wymagań modnego a fałszywego smaku, i tworzy sobie nowe, przez nikogo przedtem niedeptane ścieżki. Znika czułostkowa maniera, gdzieniegdzie zostają wprawdzie zapożyczone z francuskiej sielanki imiona Damonów i Filonów, ale prócz imion nie ma tam nic obcego.

(C. d. n.)

STUDJA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka starorzymska.

(Ciąg dalszy).

Obok tego smętnego współczucia ze śmiertelnemi niby i przemijającemi choć wiecznemi łukami, uderza nas jeszcze podziwem techniczna doskonałość gmachu, co względnie rzadkiemi podporami wielkie dźwiga ciężary. Jednak i tu siła nieześrodkowana, niezindywidualizowana, nie w jednem miejscu spoczywa, a przelewa się i na filar i na łuk. Gdy się łuk raz obróci naokoło własnej osi, tworzy kopułę, którą Rzymianie stawiać zaczęli w kształcie próżnej, wklęsłą powierzchnią nadół zwróconej półkuli. Najdawniejszą, choć po części aż do dni naszych dochowaną rzymską kopułą, jest kopuła grobu Cecylji Metelli w kampanji Rzymskiej, na cześć możnej niewiasty wystawionego.

Kopuła Cecylji Metelli wystawiona z pięknego kamienia zwanego „Trawertyną“. Kamień ten niema ani barwy, ani plastycznych zalet greckiego marmuru, daje się jednak obrabiać w piękne jasno szare ciosy, i daje się nawet do pewnego stopnia rzeźbić.

Silny, na 100 stóp wysoki mur tworzy próżny cylinder, który pełni w obec kopuły tę służbę, którą filary zwykłe pełnić w obec łuków. Mur ten, zwany technicznie bębnem, dźwiga kopułę, która przezeń w znacznej wysokości w powietrzu zawieszona, i przezeń z boków tak ściśniona, że jej własna siła odśrodkowa rozsadzić nie może.

Z poza bębna nie widać prawie kopuły; zasłania ją w zupełności prawie ściskający pierścień. Silne podmurowanie od właściwego muru odgraniczone gzymsem, a drugi zdobniejszy z jońska w kwiaty i główki zwierzęce zdobny gzyms dzieli mur od górnego pierścienia. Gzymsy te czynią wyraźnym i zrozumiałym układ gmachu. Zresztą mało tu rozmaitości, życia niema wcale, a budowa krępa i wcale nielotna. Kształt tylko krągły budzi choć w słabszym stopniu ową tęsknotę, którą wywołują wodociągi, a gmach wyższy od najwyższego greckiego budynku imponuje siłą, którą ciężkie bryły tak wysoko ponad głowę dźwignął. Wreszcie jednostajna masa łatwo zrozumiana zadowala rozum.

Na wewnątrz tylko rzeźbiony wieniec kwiatów odłączył mur bębna od kopuły. Widz stał w sferycznej przestrzeni, będącej symbolem wieczności, do której dusza umarłej wstąpiła; widzi nad sobą wielką zwieszoną wypukłą kopułę, organizm silny, w którym się wszystkie kamienie wzajemnie utrzymują na swojem miejscu mocą własnego ciśnienia. Każdy kamień ma swoje przeznaczenie, ale żaden się nie rysuje wyraźnie, a kopuła i cylinder tworzą jedną tylko, ale silną indywidualność, indywidualność zamkniętą w sobie, która dowodzi swojej siły tem, że utrzymuje wprost nad przepaścią olbrzymią część własnej masy. Pod tą grobową kopułą było przestronnie, a Rzymianin patrząc do góry widział w niej wizerunek wiekuistej mocy samotnej Romy.

Wodociągi stanęły w trzecim, grób Cecylji dźwignął się w pierwszym wieku przed Chrystusem. Gdy wodociągi stawiano, kwitła w najlepsze Rzeczpospolita. Gdy bogacz Krassus stawiał małżonce swojej grobową wieżę, chyliła się już do upadku. W sześćdziesiąt lat po śmierci Metelli, za dni Chrystusa, dźwignął się Panteon Agryppy w cesarskim już Rzymie.

Jest to z gruntu powtórzenie grobu Cecylji. Jednak Roma imperatorska dźwignęła basztę o wiele większą, choć może mniej jeszcze kształtną od republikańskiego gmachu. Grób Cecylji miał 100 stóp wysokości a 60 stóp przecięcia, Panteon ma 132 stóp przecięcia i tyleż wysokości. Wynika ztąd, że tu ciśnienie głazów kopuły jest iście ogromne, i że wrażenie siły tej samotnej baszty, na wewnątrz zwłaszcza, nieporównane. Rytmu form niema tu wcale, ale względna niskość gmachu czyni bliższem i potężniejszem jeszcze wrażenie dziwnej masy głazów, zwisłej spokojnie nad głową. Wrażenie to spotęgowane jeszcze tem, że w samym środku olbrzymiego sklepienia rozwarto ogromne kuliste oko. Oko to rzuca na posadzkę krąg światła, i wraz z niem powtarza i podwaja wrażenie zawrotnej i abstrakcyjnej nieskończoności, którą pro-

stota, siła i kształt martwego i nieorganicznego gmachu rodzą. W tych wieżach sklepionych widzieli Rzymianie wielkość zimną, pokrewną ich własnej duszy; w nich widzieli samotnej, niemiłosiernej, światowładnej ojczyzny wizerunek.

Ale poznawszy się ze sztuką Grecji, zakochali się w jej bogactwie i w jej życiu. Naturalna tedy rzecz, że usiłowali i w swoje koliste a martwe budowy wlać liczne wdzięki Grecji. A że to były czasy, w których kwitł na dobre styl koryncki, więc zapożyczyli się Rzymianie u tego stylu, niepytając czy ozdoby korynckie przystaną lub nie przystaną do ogólnej rzymskiej myśli.

Zaczęto od tego, że mury w bogatą powłokę marmurów przyodziano. Nie znamy zupełnie tej ornamentyki, o ile się zewnętrznej strony gmachu tyczyła. Wiemy tylko, że kopuła była przykryta złoconą blachą, i że się przeto świeciła widnie i promiennie w słońcu, choć mało tylko poza otaczający mur wystawała.

Znamy zato doskonale zachowaną ornamentykę wnętrza, i wiemy, że się w niej odzywały same tylko korynckie motywy.

Najpierw posadzkę ubrano w bogatą szachownicę z bronzowego i białego marmuru. Potem poczyniono w murze bębna niże, które służą do okazania olbrzymiej jego siły i grubości. Sześć niż zagłębia się na kształt regularnych kwadratowych bram, w których po dwie kolumn korynckich ustawiono. Przepiękne te żłobkowane, wiotkie choć potężne kolumny dźwigają wysoko głowice w kształcie koszów z liści akantu, a wykonano je z bronzowego marmuru zwanego *giallo antico*. Materjał to tak bajecznie kosztowny, że wyrabiają zeń dziś chyba już tylko brosze, kółce i braseletki.

Powyżej kolumn owych obiega całą świątynię bogaty gzyms z tegoż materjału wykonany, a na wzór korynckiego belkowania w kwiaty rzeźbiony. Pomiędzy niżami porobiono na kolistej przestrzeni i inne płaskie pasy z marmuru bronzowego, udające kolumny. Są to tylko dekoracje regularnie ustawione. U dołu gzymsik udaje podstawkę, po większej jego części biegną piękne pionowe żłobki, u góry widać liście, a wszystko nie jest kolumną i nic nie dźwiga, a tylko barwą i połyskiem bawi oko, i przerywa jednostajność muru. Takie ozdoby zowiemy pilastrami. Ułożono to wszystko w rytmicznych odległościach, tak, że dzięki temu mury na matematycznie jasne i muzykalne przestrzenie podzielone.

U wejścia i naprzeciwko stanęły dwie większe niże, na kształt ogromnych łuków. Fryz obiega wnętrze tych łuków, a dwie kolumny podpierają naprzeciw wejścia rogi tego gzymsu. Kolumny te nie dźwigają nic, prócz zdobnego gzymsu, i stoją tu tylko na to, by oko bawić. Nad fryzem czternaście okien, nad oknami nowy gzyms, a nad gzymsem stoi kopuła.

W kopule ceglonej przyczyniono mnogo kaset z ciosu. Kasety są to właściwie kwadratowe przestrzenie, które powstają na płaskim suficie wskutek krzyżowania się brusów podtrzymujących sufit. W greckiej świątyni są częścią integralną budowy, tu na wklęsłej powierzchni powstawały raczej podobizny kaset, służące tylko ku ozdobie i ku łamaniu światła. W każdej kasecie jaśniała niegdyś złota róża.

(C. d. n.)

Z wycieczki do Wiśniowca.

I znowu stratę nową przychodzi nam zapisać. Wiśniowiec, starożytna rezydencja Wiśniowieckich, Mniszchów itd. na Wołyniu, sprzedany z publicznej licytacji za długi, przeszedł w posiadanie niejakiego p. Tolli, dyrektora kijowskiego banku.

System zubożenia, a następnie wywłaszczenia polskiej szlachty, zaprowadzony pod zaborem rossyjskim po nieszczęsnym 1863 roku; brak kredytu, a przedewszystkiem brak solidarności i ducha, który winien kierować pracą ziemian, coraz częstsze sprowadza tam i sprowadzić musi tego rodzaju katastrofy.

Jaką przybierze postać ta piękna, bogata do niedawna, a dziś nurtowana nędzą i nihilizmem kraina, gdy w niej zabraknie żywiołu, który w sobie dobrobyt, porządek i cywilizację przedstawiał, nie trudno przewidzieć; pytanie tylko, czyli rząd, w swym mściwym systemie trwając, skorzysta z niej kiedy, i czyli z tego ziarna nieładu i anarchji, które tak hojnie i zdradziecko rzucił na polską niwę, nie przydzie mu zbierać obfitego plonu u siebie...

Ponieważ oddawna wiadomem było, iż zamek Wiśniowiecki zawiera w sobie wiele pamiątek narodowych, zebranych wiekami, a śród nich bibljotekę, dzieła sztuki i wielki zbiór familijnych portretów, na wieść o jego sprzedaniu, udałem się niezwłocznie z polecenia kuratorji Zakładu nar. im. Ossolińskich, w celu obejrzenia tych zbiorów i zbadania, ażaliby nie było można uratować na korzyść Muzeum pewnej ich części od zatraty i rozproszenia, jakiem zagraża przejście tej starożytnej rezydencji w obce ręce.

Już na wstępie po przybyciu do Wiśniowca, opowiadania mieszkańców miasteczka uprzedziły mię, że jeszcze przed objęciem tego zamku przez ostatniego właściciela hr. Włodzimierza Platera, większa, a co najbardziej ważniejsza i kosztowniejsza część ruchomości, wywiezioną została przez księżnę Abamelik, ówczesną właścicielkę Wiśniowca. I rzeczywiście, przechodząc obszerne apartamenta, zaledwie się spotyka śród nich gdzie niegdzie ślad owego przepychu, co był tak zwykły dawnym czasom i dawnym a tak znakomitym rodom, co tam siedzibę swą miały.

Z tego co pozostało, sądząc z pobieżnego przeglądu, rozdzielićby wypadło wszystko na trzy działy: a) bibljotekę, b) przedmioty artystyczne, c) sprzęty.

Bibljoteka a z nią archiwum, obecnie zamknięte do czasu przybycia powołanego do rozpatrzenia jej bibljotekarza, posiadać ma liczne i znakomite dzieła i rękopisy.

W dziale artystycznym, rzeźba jakkolwiek reprezentowana jest nie małą liczbą popiersi królów, hetmanów, itd. wykonanych z marmuru lub odlanych z gipsu, ogół pod względem artystycznym nie wielką ma wartość. Popiersie marmurowe Jana III i St. Augusta, jakkolwiek lepsze od innych, noszą cechę maniery właściwej XVIII stuleciu.

Obrazy, prócz kilku portretów dobrego pędzla, śród których wyróżnia się znakomicie portret angielskiej lady, przez Van-Dycka malowany, i kilka krajobrazów, w liczbie kilkuset, mają wartość jedynie historyczno-archeologiczną, i dla tego zapewne ta część zbiorów ocalała i jest najobfitszą. Rodziny Wiśniowieckich, Mniszchów, Tarłów, mają tam swoje oddzielne kollekcje, śród których spotykają się gdzie niegdzie luźne postacie królów, lub spowinowaconych osób z różnych epok. Uderza śród nich szczególniej wizerunek Zygmunta I w całej postaci, w całem znaczeniu słowa wspaniały i prawdopodobnie współczesny. Winienem bowiem dodać, że wiele portretów z epok mianowicie odleglejszych, zdają się być kopją, lub były malowane o wiele później, jak się to zwykle zdarzało w kompletowaniu familijnych galeryj. Obrazy historyczne: zaślubin i koronacji Maryny, wywieziono do Petersburga.

W każdym jednak razie zbiór ten portretów tak liczny, wielką ma wagę dla historji i historycznego malarstwa, tak dla ubiorów jak i dla charakteru przedstawionych postaci, na których duch czasu odbił swe piętno. O ile więc nabycie tak znakomitego zbioru zbogaciłoby każde historyczne Muzeum, o tyle byłoby niepowetowaną szkodą, gdyby miał być straconym dla kraju.

Obecny właściciel Wiśniowca, jako człowiek obcej nam narodowości, nie będąc interesowanym w zachowaniu polskich pamiątek, nie zawaha się zapewne w pozbyciu się z nich wielu. Idzie więc dziś o to przedewszystkiem, aby się nie rozprószyły, i gdy już będą do zbycia (o czem mię zapewniono), aby publiczne zbiory krajowe mogły z tego korzystać.

Co do działu przedmiotów pamiątkowych i ruchomości, dochowało się jeszcze śród nich kilka sprzętów, należących niegdyś do różnych członków rodzin, kilka cennych robót kobiecych z XVII wieku; kotara i łoże Maryny Mniszchówny w sypialni noszącej jej imię; tejże kareta zimowa, i karoca z XVIII wieku w całości dochowana. Ocalało też kilka sztuk mebli, kształtnych i ciekawych, nieco brązów francuskich z czasów Ludwika XV, oraz świeczniki i żyrandole. Zwracają zaś uwagę szczególniej dawne hafty na atłasie, rozpięte na ścianach w miejsce makat, mylnie gobelinami zwanych; a jakkolwiek główna środkowa ich część wycięta, to wszakże co z nich zostało w obramowaniu, niepospolitą dla miłośników starożytności i tego rodzaju wyrobów może mieć wartość.

Reszta sprzętów i mebli jakkolwiek dawnych, niczem się nie odznacza. Komnaty ogołocone z makat i adamaszków, świecą białemi ścianami lub rażą nowem papierowem obiciem. Zewsząd złowrogo wygląda pustka i ruina, świadczące, że minął czas, kiedy właściciele mieli chęć i możność, a nadto czuli się w obowiązku podtrzymywać podobne gmachy. I oto cisza zaległa miejsca, gdzie przez kilka wieków wrzało życie, roiły się tłumy panów, rycerstwa, dworzan. Inne bo czasy, inni ludzie nadchodzą.

Na podwórzu zamkowem mnóstwo dział i moździerży, wkopanych do połowy u bram i chodników, inne też czasy i dzieje przypomina.

Ogół gmachów, ogrodów, otoczenia, licząc w to ruinę pięknej niegdyś cerkwi, u bram pałacu na wyniosłem miejscu wzniesionej, poważny i zajmujący, a dzięki uroczej okolicy, jeśli nie do najwspanialszych, to niezawodnie do najpiękniejszych rezydencyj niegdyś polskich, policzonym być może.

Miłośnikom wycieczek po rodzinnym kraju, dla których nieobojętne historyczne miejsca i piękne widoki, winienem zakomunikować, że Wiśniowiec o 4ry tylko godziny odległy od Radziwiłłowa, stacji kolejowej na granicy Wołynia, i że droga doń wiodąca przez Poczajów, ową niegdyś Częstochowę ruską, malownicza nie zwy-

kle. Dość powiedzieć, że wijąc się śród jarów, wzgórz i stawów, i rozsypanych po nad temi wiosek, śród dębowych i brzozowych gajów, i wyniosłych płaskowzgórzy, przebiega miejscowości, zkąd oko nieraz ginie w przestrzeni dalekich horyzontów, zkąd się jednocześnie widzi Podkamień, Poczajów, Wiśniowiec, Krzemieniec, pod tylu względami pamiętne. Wspaniałe te gmachy, dzieła potęgi i pobożności, pnące się wieżycami ku niebiosom, a z wyżyn ostatnich stoków odrośli Karpat panujące okolicy, jakby karty dziejów otwarte, jakby skarga kamiennemi zgłoskami o sprawiedliwość wołająca, dziś opuszczone, sprofanowane lub odarte, ileż wspomnień, ileż nie budzą uczuć od chwały aż do upadku, w duszy nieobcego wędrowca!

Nessun maggior dolore, che ricordarsi il tempo felice nella miseria!

E. Pawłowicz.

Z przeszłości cechów w Polsce

przez

Franciszka Ksawerego Martynowskiego.

(Ciąg dalszy).

Ażeby lepiej zrozumieć stosunek organizacyj cechowych do prywatnego, domowego życia pojedyńczych członków rzemieślniczych korporacyj, przytaczamy tu jeszcze parę przykładów, rzucających wyraźne światło na tę sprawę. Jakoż ustawy cechowe, przestrzegając ściśle konieczności zawierania małżeństw pomiędzy stanem mistrzowskiej młodzieży, nie mogły patrzeć obojętnie na występki towarzyszów i mistrzów popełniane przeciwko VI przykazaniu i w ogóle rozwolnieniu obyczajów. To też każdy statut cechowy waruje się przeciw takim występkom osobnemi paragrafami znacznej surowości, że tu zacytujemy uchwałę płócienników kaliskich, orzekającą, iż: „Towarzysz, któryby się nierządnie chował z służebną dziewką a przeświadczon był, takowy ma być karany pięciu kamieniami wosku.“

Nie mogli też obojętnie patrzeć sławetni rzemieślnicy na świętowanie więcej dni, niż kościół przepisywał. Szczególniej tak rozpowszechnione jeszcze i dzisiaj święcenie poniedziałków pomiędzy niektórymi rzemieślnikami, było surowo karane przez ustawy cechowe. Czytamy np. w statucie garncarzy kobylińskich z r. 1513 (J. Łukaszewicz T. I. str. 106) iż, „który z towarzyszów tego rzemiosła, jeżeliby święcił w poniedziałek, a święto miało się trafić w tymże tygodniu, takowy powinien odłożyć bractwu połowę wochlonu (zarobku) co zarobi przez tydzień, za winę“.

Nie wiemy o ile oddziaływały podobne paragrafy — dość że każda ustawa cechowa surowo karci marnotrawienie roboczego czasu. Zdaje się jednak, że przepisy owe nie zostawały bez korzystnego skutku, tem bardziej, że i wiele innych paragrafów ustaw cechowych karci występki wynikłe z próżniactwa rzemieślniczej braci. Pijaństwo zwłaszcza, jako bezpośrednie następstwo próżniactwa, bywało karane znacznemi jak na owe czasy grzywnami. Uchwalają między innemi płóciennicy wielkopolscy, że „mistrz albo towarzysz, któryby się upił aż do womitu, ma być karany pięciu funtami wosku“. Przestępstwa takie karano zarówno, czy one były popełnione w prywatnem, czy też w publicznem miejscu.

W drugiej połowie XVI wieku mistrzowie cechu rzeźnickiego miasta Kobylina uchwalają za przykładem braci Kaliszan, że „gdyby na któreko brata skarga przyszła, albo żeby się bracia sami dowiedzieli, to jest, aby sobie który niefortunnie albo nieobyczajnie poczynał, tak, żeby cudzych rzeczy gdziekolwiek ruszał, takowy ma być złożon z rzemiosła tak długo, póki się nie usprawiedliwił, w czemby mu winę dano“. Widocznie zatem mądra przeszłość lepiej pojmowała godność człowieczeństwa, więcej dbała o honor pewnej korporacji, niż się to dzieje w naszych czasach. Czy dzisiaj nasi rzemieślnicy i przemysłowcy nie mogli by z wielką korzyścią zastosowywać pomiędzy sobą podobne paragrafy? Nie trudna by tu była odpowiedź, ale ponieważ ona do nas nie należy, więc lepiej przytoczmy jeszcze dwa ustępy z ustaw cechowych, orzekające o niemoralności mistrzów i towarzyszy rzemieślniczej rodziny. Pijaństwo i kradzież same popychają do gry rozmaitej, sprowadzającej zazwyczaj ruinę moralną i materjalną w nieszczęśliwym nałogowcu. Stąd też ustawodawcy cechowi bacząc na owo złe, karzą ciężkiemi grzywnami tych mistrzów i towarzyszów „którzyby suknie w gospodzie przegrali“, albo „gdyby zastawili suknię, albo co innego na grę“.

Jeżeli w wielu wypadkach słusznie karano przestępców, zwłaszcza tych co uwłaczali godności korporacyj rzemieślniczych, — jeżeli pozbawianie prawa prowadzenia rzemiosła i wykluczenie z cechu słusznie dotykało tego mistrza lub towarzysza, który się targnął na cudzą własność; za to nie można się zgodzić na wymierzanie kar z okazji źle zrozumianego honoru braci rzemieślniczej. Mamy tu na myśli powtarzające się często wypadki tego rodzaju, jak zabicie psa, pociągające za sobą wyzucie ze czci i wiary, czyli jak je wówczas zwano „bezeceństwo“. Zazwyczaj przesądy, zła wola i ciemnota — grały w takich razach najgłówniejszą rolę, i były jedynemi powodami do oskarżenia. Czytamy n. p. u Zubrzyckiego (Kronika miasta Lwowa) iż we Lwowie „r. 1562 pan Józef pozwał garbarza Łukasza, że go oszkalował, jakoby pieska miał zabić, przez co go cech od rzemiosła usunął. Łukasz się tłumaczył, że przed rokiem lub półtora był u Józefa w gościnie, który bawił się szczeniątkiem. Obaliła się ławka i zabiła szczenię; lecz nie wie, czyli ławka przypadkiem się przewróciła, lub umyślnie strąconą została“. Oczywista, że nie było tu dowodu na poparcie bezeceństwa mistrza Józefa, więc go też wielebny sąd zupełnie od zarzutu uwolnił.

Nie mniejsze też miał zmartwienie brat garbarz Martinus Corriarus, bo oto r. 1523 również we Lwowie oszkalowano go, że psa zabił. Bolało to wielce sławetnego cechmistrza garbarzy, więc nie czując na sobie żadnej tego rodzaju plamy, w czterech terminach sądowych obwoływa publicznie zarzuty i wzywa wszystkich, aby mu owej nieuczciwości dowiedzono. Szczęściem dla pana Marcina termin czwarty minął, a nikt z formalnem oskarżeniem nie wystąpił, przeto i sąd radziecki Lwowa uznał go za oczyszczonego zupełnie z pod owego zarzutu. Wydarzeń tego rodzaju bywało wiele, a padały one najczęściej na garbarzy.

Z dotychczasowego toku rzeczy łatwo mógł czytelnik zauważyć, że wszelkie nieporozumienia, wynikłe pomiędzy członkami stowarzyszeń, bywały załatwiane przez starszyznę cechową; jakoż w istocie nie było silniejszego zatargu czy to z życia publicznego, czy domowego, żeby go nie rozstrzygał starszy lub jego zastępca. Obowiązkiem braci i towarzyszów było udać się w kwestji spornej przed sąd panów starszych, który odpowiadał naszym polubowym sądom; kiedy jednak która ze stron lub obie nie zgadzały się na wyrok cechmistrzów, wtedy sprawa szła do rozstrzygnięcia na sądy radzieckie.

Zanim przystąpimy do rozejrzenia się w stosunku ustaw cechowych i zarządu korporacyj rzemieślniczych do samychże rzemiosł, wypada nam nadmienić, że wszelka służba kościelna, przywiązana do każdego cechu, była pod groźbą grzywien sprawowaną przez braci i towarzyszów rzemieślniczych. Ograniczała się ona zwykle na noszeniu i rozdawaniu świec w czasie uroczystości kościelnych lub nabożeństwa brackiego, na opiekowaniu się brackim ołtarzem; oprócz tego nakładała obowiązek grzebania grobu dla zmarłego członka, uczestniczenia w obrzędzie pogrzebowym i wielu innych okolicznościach religijno-moralnej służby. Ale praktyki te religijne, jeżeli w średnich wiekach moralnie oddziaływały na członków korporacyj rzemieślniczych — to w XVII i w następnych stuleciach, kiedy rzemiosła i cywilizacja w Polsce podupadły, wiele szkody i cechom naszym przyniosły. Natworzone bowiem mnóstwo bractw religijnych, przy ogólnej naonczas ciemnocie, więcej pochłaniało czasu na czcze praktyki bracko-religijne, niźli na potrzeby warstatu. Jezuicki zaś wpływ w narodzie coraz więcej tę manję rozniecał, obracając jej skutki ku swoim wyłącznie celom z poświęceniem narodowego innteresu. Dość porównać ustawy cechów z XIV i XV stulecia — z takiemiż przepisami ostatnich dwóch wieków, aby się przekonać o szkodliwej dążności bracko religijnych praktyk, względnie do rzemiosł i cechów samych. Sprawiły one to, że nasz rzemieślnik stracił już wtedy poczucie swego obowiązku, a pijaństwo i służba w kościele wypełniały większą część dni roboczych. Nie można się było zresztą sprzeciwiać uczestniczeniu w licznych obchodach bracko-religijnych, bo ustawy cechowe karały grzywnami każde niejawienie się przy świecy kościelnej.

(C. d. n.)

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom trzeci.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ I.

Chwilowi goście w Grand Conroy.

Hotel „Grand Conroy“ był nowy i posiadał tę rzadką zaletę, że był wzorowo czysty. Jeszcze nie przeniknęła jego sal i korytarzy woń pozostałości objadu, wieczerzy lub śniadania. Jeszcze i w jego świeżo wytapetowanych pokojach nie dawał się czuć szczególny zapach, jaki pozostawia po sobie gość, który tylko co się wyniosł. Jeszcze ruchliwy zarząd pani Markle i pomocnicy jej Sal, delikatnie zasłonięty był przed publicznością wskutek utworzenia pośredniego stanowiska kelnera, bufetowego i irlandzkiego posługacza. Tylko dla niewielu zwykłych dawniejszych gości, obie damy bywały widzialne w całej swej poprzedniej niewymuszoności.

Hotel posiadał publiczny *parlor* o ścianach połyskujących złoconemi ramami zwierciadeł, a który tak zbytkownie był przyozdobiony garniturem z czerwonego pluszu, że naturalna niewymuszoność miasta One horse gulch zdumiewała się nim. Obok tego istniał wygodnie urządzony pokoik mieszkalny wdowy i jej pomocnicy Sal, jako ich wyłączna własność prywatna, a do której w szczególnych razach i niektórzy goście przystęp mieli.

Do niewielu szczęśliwych, mających prawo wchodzenia do tego przybytku, należał adwokat Maxwell.

Rozumie się, że pani Markle miała dokładne wiadomości o tem, że pani Conroy była klientką Maxwella, i że wskutek jej przypadkowych odwidzin wywiązał się stosunek jej z Gabryelem. Na nieszczęście nie była pani Markle w stanie zebrać dokładnych o tem wiadomości, czy też poprzednio już nie było między nimi znajomości. Maxwell oświadczył jej, że o ile wie, nie miało to miejsca, i że spotkanie się ich było czysto przypadkowem. Mógł on to uczynić bynajmniej nie naruszając zaufania swej klientki, o wszystkiem innem dotyczącem tego zachowywał niewzruszone milczenie. Jednej tylko udzielił wiadomości, a mianowicie, że pani Devarges zasięgała rady jego w pewnej sprawie majątkowej. Przy tej sposobności wszakże pomylił się raz, i zamiast o pani Devarges mówił o Gracji Conroy.

Pani Markle zaraz poczęła uważniej słuchać.

— Chciałem powiedzieć, pani Conroy, poprawił się prędko.

— Gracja — to ta siostra jego, co zaginęła?

— Tak jest, odrzekł Maxwell z powagą, czy mówił on kiedy obszerniej z panią o tem?

—Nie—odpowiedziała pani Markle—otwarcie rozmawialiśmy z nim tylko o rzeczach ogólnikowych; ale wnioskując z tego co słyszałam od Olly, sądzę, że ta siostra była jedyną kobietą, którą kochał.

Adwokat Maxwell przypomniał sobie pamiętną rozmowę z Gabryelem o kobiecie, którą teraz widział przed sobą i nagle spoważniał.

— Sądzę wszakże—powiedział,—że pani jesteś tego zdania, że teraźniejsza jego żona zupełnie mu zastępuje miejsce zaginionej siostry.

— Nigdy! zawołała szybko pani Markle, ona! to przebiegłe podstępne straszydło — nigdy!

— Obawiam się, że pani nie oddajesz jej słuszności, rzekł Maxwell; a z drugiej strony jakiż pani masz powód do zarzucania jej przebiegłości?

— Taki, że poszła za niego zamąż, odrzekła pani Markle swobodnie! czy sądzisz pan, że ona... żo on pojąłby za żonę kobietę, którąby mu się sama na szyję nie rzuciła? co?

Zapamiętałość pani Markle była tak widoczną, że nawet taki filozof jak Maxwell nie mógł policzyć jej na karb znanej słabości płci niewieściej. Żadnemu mężczyźnie nie jest przyjemnem słyszeć, jak kobieta ciągle popisuje się że swem przywiązaniem do innego, odpowiedział więc cierpko.

— Ale przypuśćmy taki wypadek, powiedział, że ona... i inne... mylą się co do charakteru Gabryela. Przypuśćmy że ta prostota i skromność, to tylko maska. Przypuśćmy, że jest on jednym ze skończonych komedjantów, jacy zdarzają się na scenie i na świecie. Przypuśćmy, iż okaże się, że on wszystkich i każdego, nawet własną żonę, wyprowadził w pole.

Tu adwokat w sam czas przerwał potok swej wymowy. Pani Markle zaraz rozpoczęła ogień:

— Przypuśćmy, że smyczek od skrzypców jest pączkiem z ciasta! tak samo mogłabym te oto dziecko podejrzywać, zawołała wskazując na niewinną małą Manty. Wy, adwokaci, czego nie rozumiecie, to podejrzywacie. Dlaczego pan od razu nie mówisz tego, co wiesz o nim?

— O nim można powiedzieć to samo co o niej — opierając się mniej więcej na takichże dowodach.

— Nie jest on taki prostak, przerwała pani Markle.

— No, to powiedzmy, że jestto wielkie stare dziecko. Odkrywa bardzo bogaty pokład rudy w One horse gulch i wynajduje najzręczniejszego człowieka w całej Kalifornji, który za niego cały interes prowadzi — a wszystko to wtedy dopiero, gdy ułowił sobie bogatą dziedziczkę i piękną kobietę. Być może iż jestto prostota; ale według mego doświadczenia, niewinność nie miewa takiego szczęścia!

— To mu też żadnego błogosławieństwa nie przyniesie, bądź pan tego pewny, zakończyła pani Markle z wyrazem tryumfu w twarzy.

Bardzo być może, że niechęć pani Markle podtrzymywana była ciągle żywą nieprzyjaźnią wiernej Sal, jako też pilnem szpiegowaniem jakiem ta młoda dziewczyna otoczyła wszystkie czynności i domowe stosunki państwa Conroy. Skłonność Gabryela do samotności, częste jego przebywanie na ulubionem miejscu na pochyłości góry, ilość i charakter odwidzających panią Conroy osób, nawet urywki rozmów prowadzonych w kółku rodzinnem, wszystko to Sal wiedziała i o wszystkiem z właściwemi sobie upiększeniami donosiła wiernie swej pani. Być może, iż większa część plotek, krążących o pani Conroy, początek swój miała w spostrzeżeniach i domysłach tej podziwu godnej młodej panny, która udzielała poufnych swych wiadomości nie tylko pani Markle. I gdy pewnego dnia jakiś obcy starał się ciszę, panującą przy śniadaniu, ożywić rozmową z Sal o domu Conroy, opowiedziała mu ona wszystko co już opowiedziała przedtem pani Markle.

Słyszałem, że pewne przymioty tego obcego, taki wywarły wpływ na wrażliwą naturę okrutnej dziewicy, że język jej rozwiązał się. Wyjąwszy wszakże pewnej skłonności do zadowolenia życzeń tego pana osobiście i w sposób uprzejmiejszy, aniżeli bywało to z innymi czasowymi gośćmi, wyjąwszy krzątania się koło niego i zachwalania mu niektórych przysmaków ekstra, nie było powodów do podobnych twierdzeń. Tyle było pewnem tylko, że gość ten był człowiekiem niezwykłym; że zupełnie nie był podobny do codziennych zwyczajnych gości, i że pod pewnym względem usprawiedliwiał takie wyjątkowe względy. Był młody, miał twarz bladą, białe zęby, chude żółte ręce i obejście, które Sara Clark „włoskiem“ nazywała. Zamierzam tu powtórzyć niektóre z jego ustnych wynurzeń.

— Nie jestem ani szczególnym wielbicielem pączków, ani suszonych jabłek, mówił Wiktor, którego inteligentny czytelnik zaraz poznał, jedna filiżanka kawy, osładzana tym wzrokiem i podana temi pięknemi rękami, które chciałbym malować!... wystarczy dla mnie.. więc sądzisz pani, że pani Conroy żyje nieszczęśliwie ze swym mężem? A! pani jesteś mądra, panno Clark, pani jesteś bardzo mądra. Ja za żadne pieniądze nie chciałbym być poddanym jej zabójczej krytyce.

— Ha! dzięki Bogu najwyższemu i jego świętej woli, dane są nam oczy abyśmy patrzyli, i chociaż słabemi jesteśmy istotami nie przystoi nam źle używać udzielonych nam darów, lub też pysznić się niemi, odrzekła Sal we wstydliwem zakłopotaniu; — sądzę jednak, że gdy żona, która ślubowała mężowi szacunek i posłuszeństwo, mówi: „ten dom jest mój, ten grunt jest mój i możesz wynosić się“ — to niewiele tam jest szczęścia. Gdybym nie słyszała tego na własne moje uszy, gdym przypadkiem przechodziła tamtędy, wracając z jednej wizyty, to wcale nie wierzyłabym temu. A przytem chce udawać znakomitą damę; wstydzi się być grzeczną względem niektórych ludzi, tak samo dobrych jak ona, jeżeli nie lepszych i niemających potrzeby wychodzić za mąż aby dojść do pewnego stanowiska, i którzy jużby tysiąc razy doszli do tego, gdyby tylko chcieli. Ale są ludzie tacy i owacy, a samochwalstwo jest rzeczą brzydką... Mogę panu zalecić tę fasolkę... wieprzowinkę — my sami bijemy wieprze na potrzebę naszych gości — jest doskonała.

— Jestem już syty, dzięki pani, wieprzowiny nie jadam, szkodzi mi — rzekł Wiktor ukazując wszystkie zęby; — przykro słuchać podobne historje. Źle to jest, a jednak, widzisz pani, człowiek ten posiada bogactwa! Ach! tak to się dzieje na świecie!... Nie! nie mogę już więcej; jestem zupełnie syty. — A! a! a to co?

Zniżył głos i spuścił oczy, gdy staroświecki elegant, którego Gabryel spotkał na Conroy Hill, niespostrzeżony podniósł się z krzesła przy bocznym stole i jak gdyby nie zwracał na nic uwagi, wyszedł. Wiktor poznał gracza w karty z San Antonio, człowieka z którym niedawno poznajomił się na ulicy Pacific, i zaraz uczuł ku niemu nieufność i niechęć.

Ale oświadczenie Sal, że nieznajomy ten jest świadkiem przy sądzie, wydała mu się dostatecznem wyjaśnieniem, a fakt, że świadek ten zdawał się nie poznawać go, przywrócił mu rychło spokojność. Po jego oddaleniu się, Sal przeszła znowu do swych poufnych zwierzeń.

— Co do jego bogactw, to ludzie, którzy są dobrze pod tym względem poinformowani, mają własne swe o tem zdanie. Ostatniego tygodnia było tu jedno towarzystwo, panowie hojni na pieniądze i nie zadzierający tak wysoko nosów by zapoznawać ludzi pracy... i chociaż ani ja, ani pani Markle nie często wdajemy się w rozmowę z ludźmi obcymi, to jednak panowie ci dawali do zrozumienia, że żyła rudy w Conroy Hill za wysoko była obrachowana, że nie jest szerszą nad jedną stopę, i że nie upłynie miesiąc a nic już wydawać nie będzie; mówią, że i stary Piotr Dumphy wiedział o tem i udział swój sprzedał, i że to właśnie jest przyczyną, dlaczego Gabryel wynosi się, ażeby usunąć się z drogi nim się cała rzecz wykryje.

— Gabryel wynosi się, panno Sal? to być nie może! rzekł gość ciężko westchnąwszy, przyczem całą szerokość swych zębów zwrócił ku wrażliwej służącej.

— Źle wyraziłam się, rzekła Sal, — wysyłają oni tylko Olimpię Conroy na sześć miesięcy do szkoły, a nowy techniczny kierownik, mający postąpić na miejsce Gabryela, już przybył. To ten jegomość w szarym suducie, który jeszcze przed minutą siedział tu. Jakto? nie chcesz pan tego ciasta z jabłkami i porzeczkami, które same piekłyśmy? Obawiam się, że będziesz pan głodny.

Ale Wiktor już wstał i szybko się oddalił, pozostawiając Sal w przykrem powątpiewaniu

czy też w zapędzie swej zalotności nie wzburzyła tragicznej natury tego wrażliwego cudzoziemca.

— Powinna byłam pamiętać, że to człowiek obcy i nie należało mi zachowywać się tak swobodnie. Biedny młody człowiek!

I z mocnem postanowieniem wyjednania sobie przebaczenie i życzliwości następnego rana za pomocą jednego półmiska ekstra, odeszła nieco upadła na duchu, do jadalnego pokoju Po niejakim czasie wynalazła sobie szczególne zajęcie, a mianowicie, czyszczenie korytarza w pobliżu pokoju Wiktora; uczuła się jednak nie mało rozczarowaną, ujrzawszy, że drzwi są otwarte a mieszkańca pokoju nie masz.

— Wystaw sobie pani, mówiła następnie do pani Markle z żywym wzrokiem, — przemawiał do mnie w taki sposób, że pani sobie nawet wyobrazić nie zdołasz i wszyscy przechodzący zauważyli to. Potem wybiegł jak szalony... no, to już jego rzecz jak sobie teraz poradzi.

Po odmalowaniu pani swej w tak sentymentalny sposób wrażenia, jakie owa południowa ognista natura na niej sprawiła, stała się tajemniczą, ostrożną i niezadowoloną.

Prawdopodobnie teorja panny Clark o wyniesieniu się Gabryela nie od niej wyszła, ani też nie jej wyłącznie była znaną. Zamierzona przez Gabryela podróż, wszędzie w mieście stanowczo była ganioną. Prędko utracił on swoją jeszcze tak świeżą i trudno zjednaną popularność, a nie mało było takich, który potępiali opuszczanie przez niego One horse gulch przed usunięciem wątpliwości co do prawa posiadania odkrytych kopalni. Dziennik *Silveropolis Messager* szeroko się rozpisał o zagrażającej niebezpieczeństwem „zmianie osób będących na stanowisku technicznych kierowników w takiej chwili," i zrobił uwagę, że fundusze towarzystwa mogą na tem ucierpieć.

Drugi dziennik miejscowy, który pracował gorliwie nad pognębieniem pierwszego, zamieścił pod tytułem „Absenteizm" artykuł wstępny, w ostrych zarysach wystawiający ludzi, który napełniwszy sobie sakwy ze źródeł zaczerpniętych w One horse gulch, myślą tylko o marnowaniu bogactw na podróżach po obcych krajach.

A tymczasem skromny przedmiot tych wynurzań, nie przypuszczając publicznego udziału w jego zamiarach i planach, zajmował się przygotowaniami do podróży. Ofiarowanie mu przez nowego technicznego kierownika dość znacznej sumy za wynajęcie domu swego nie przyjął, i w oczekiwaniu przypuszczalnego powrotu drogiej swej Gracji, dozór nad tym domem powierzył zaufanej służącej.

— W razie gdyby jaka młoda dziewczyna szukała mnie, powiedział tej służącej, to nie wypytuj się jej długo, zwłaszcza jeżeli będzie wyglądać skromnie; ale daj jej najlepszy pokój jaki jest w domu, a po mnie przyszlij umyślnego; pani Conroy nie potrzebujesz uprzedzać przed czasem.

Ponieważ jednak na twarzy służącej kobiety zamężnej, która z mężem nie żyła, — zauważył wyraz cnotliwego zaniepokojenia, dodał więc prędko.

— Jestto młoda kobieta z niejakim majątkiem... z jego powodu ma przykrości i życzy sobie zachować do czasu tajemnicę.

Uspokoiwszy w ten sposób służącą, dawszy jej do zrozumienia, że w domu Conroy istnieje pewna ciemna tajemnica, nie powiedział nic więcej, tylko skrycie odwidził Olly, spakował wszystkie szczątki sukień zmarłej swej matki, powykrawywał (Bóg wie w jakim celu) wąskie paski z sukień, które Gracja niegdyś nosiła, i które zawsze jak świętość przechowywał, i włożył do swej portmonetki. Potem poszedł, jak zwykle sam, na pochyłości wzgórza, i w walącym się opuszczonym domku przepędził kilka godzin. Uniknął spotkania z panią Markle, która już raz podczas długiej poobjedniej przechadzki czatowała na niego, a uniknął jej tak samo, jak i przybliżesię wścibskiej swej żony, którąby go chciała przywiązać do domu. I gdy tym sposobem obie kochające go kobiety, sposobem właściwym płci męskiej, doprowadził do najwyższego szczytu niezadowolenia, pomyślał w pełni nadziei o chwili, w której będzie szczęśliwy bez obu.

(C. d. n.)

KRAINA BAŚNI.

Za siną wodą, za morzem,
Gdzie gasną słońca promienie,
Kraj baśni leży czarowny,
Dziwny, jak senne złudzenie.
Złote albowiem podania
Z zamierzchłych wieków świątyni
I baśnie szare latami
Jego mieszkańcy jedyni.
Słońca tam niema na niebie
W przepaści szklannych błękitów;
Srebrnego niema księżyca
U ciemnych nocy zenitów.
Tylko, ze skały porfiru
Wyniosłej, widnej już z dala,
Tryska zdrój prawdy świetlany:
Złota przegania się fala —
A od niej widno tak w koło
Że niema nocy ni ranka;
A nad nią mgłami lotnemi
Par złotych zwisła firanka;
Wsiąkają w eter błękitny,
W podania wszystkie i dzieje,
Że cała baśni kraina
Odbrzaskiem prawdy jaśnieje!
Zda się w przedświtach różowych
Tonąć pod jutrznią bez końca,
Choć niema w niebios błękicie,
Gwiazdy polarnej, ni słońca.

Drzewa wspaniałe tam rosną:
Królów korona by zbladła,
Takie na korę żywica
Wieńce rubinów pokładła.
Liście z jasnego szmaragdu
Harfą Eola słuch pieszczą —
Nie liście grają to w ciszy,
Niebios harmonją szeleszczą:
Gwarzą ze sobą w tym gąszczu
Zaklęte wieków podania!
— — — — —
Ptaki co gniazda w nich ścielą
Tęczowa odzież osłania;
Głos ich potężny i śpiewny,
Iskry natchnienia we wzroku —
Choć górne skrzydeł ich loty
Nie są to ptacy z obłoku!
Lecz pieśni owe potężne,
Podaniem wieków karmione,
Które wrą ogniem zapału,
I budzą rzeszy uśpione,
Praojców cienie wskazując
Do czynu jednoczą dłonie,
Wszystkim jednakże króluje
Król sokół, na mroków tronie,
Szpony uzbrojon srebrnemi,
Siwy jak pleśnie grobowe
Oczy rubinem się krwawią,
Skrzydła jak śniegi marcowe:
Myt to wszechświata przedwieczny!
Jako ów Feniks Hellady
W ogni odmładzał się żarze —
Podobnież: my tu ptak blady,
Gdy oczu śćmią się promienie,
Gdy własnej siły mu zbywa,
W prawdy strumieniu się nurza,
Pleśnie ze skrzydeł obmywa.

W dole, te kwiaty na łąkach,
To drobne skazki ludowe:
Dzieje sierotek nieszczęsnych
Skryte w konwalje majowe.
W skrzypach, upiory z za świata,
W nogietkach złoto zaklęte,
W ciche fijołka szafiry
Legendy stroją się święte.
Historja Jasia żołnierza
W ogniu polnego goździka;
A krwawą zbrodnię bratowej
Biała lilija zamyka.
Łoże Madeja spowiła
Senna purpura makowa:
W dzikiem zaś zielu mogilnem
Wszechwładne zaklęć śpią słowa.
I wszystkie żyją tam klechdy,
I szare prządek powieści,
I złote baśnie piastunek —
Wszystko tam w kwiatach się mieści.
Nawet się mokre rusałki
W ciemnych paprociach kołyszą —
A wszystko wiecznie milczące,
Zaklętą, głuchą śni ciszą....
— — — — —
Cudna tych dziwów kraina
Leży za wielką gdzieś falą,
Leży za wiatrem skrzydlatym,
Leży za siną oddalą.
Jak złota wyspa zaklęta
W mroków głębinie gdzieś tonie...
Ludzie daremnie szukają
Drogi w to czaru ustronie.
Tylko gdy z nieba na ziemię
Schodzą malenkie dzieciny,
Długo po sennych drożynach
Lecą w te baśni krainy.
Później gdy życia poranek
W żary południa się mieni
Ślad się tych ścieżek zaciera
I zwolna gaśnie w przestrzeni.
Owa zaś piękna kraina
Coraz to bardziej daleka,
Coraz to nowa zapora
Dzieli z nią duszę człowieka:
Spiżowy djadem niedoli
Ostudzi czoło gorące,
Lub z serca zedrą prostotę
Złota uściski brzęczące.
Jednak kto duszę nie całkiem
Przedał rachubie w poddaństwo,
Kto o byt walcząc, choć czasem
Wspomni na życia kapłaństwo;
Temu nie zatrzeć wrażenia
Rajskich widziadeł kołyski:
Przez życie całe go wiodą
Wewnętrznych świateł odbłyski.
W ludzkości pracach i bojach
Przed siłą na twarz nie padnie,
Na kartach wiedzy zatartych
Znamiona ducha odgadnie;
Idzie szczęśliwy i dumny
Choćby po ścieżce krzemiennej
Potęgą wspomnień wcielony
W świat ideału promienny.

Iza.

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

Druga serja.

(*Ciąg dalszy.*)

Zwidziwszy fabrykę we wszystkich jej szczegółach, powróciliśmy do naszej łodzi. Po upływie pół godziny wpływaliśmy na główny kanał, pro-

wadzący przed dom Shabundera; gdyśmy byli w jego połowie, wesołe krzyki i śmiech doleciały nas z pobliskiego stawu. Dobijamy do brzegu i przeszedłszy gościniec, znaleźliśmy się nad przestrzenią wody, po której uwijały się czółna, a w nich panie, każda ze swoim wioślarzem, oddająca się z zapałem rybołóstwu, i to nie za pomocą sieci lub wędek, ale z kormoranem, skutkiem czego było tyle śmiechu i hałasu.

Kormoran z familji płetwonogich, podobny trochę do kaczki a trochę do gęsi, posiada w swym rodzie odmianę obdarzoną workiem wyrastającym z pod dzióba, do którego chowa wygodnie zdobycz, aby ją następnie spożyć w spokoju. Urodzony w niewoli lub z maleńkości wychowany, daje się łatwo oswajać, to też korzystają z jego budowy i używają go do łapania ryb. Edukacja jego nie jest trudną: najpierw przyzwyczajają ptaka do słuchania świstu, którym przywołują go do jedzenia, następnie przyzwyczajają do noszenia na dzióbie obrączki srebrnej, która przeszkadza mu do łowienia ryb na swoje konto. Worek wyż wzmiankowany, utworzony ze skóry czyli raczej błony rozszerzalnej, przyrośnięty jest do dwóch chrząstek spodniej części dzióba, mających własność rozciągania się, formując otwór pochwy. Po zdjęciu obrączki z dzióba, kormoran rzuca się w wodę i bierze zaraz do roboty. Gdy worek już napełniony, powołują rybaka gwizdaniem; zdarza się jednak często, że ptak udaje głuchego. Natenczas sznurek, który z przezorności nasuwają mu na szyję przed zdjęciem obrączki z dzióba, służy do przyciągnięcia krnąbrnego. Tak sprowadzony ptak oddaje swój zapas, i po wypróżnieniu znów idzie w pogoń za rybami. Co jednak najdziwniejsza, że kormoran uchwyciwszy wielką sztukę, mimo podskoków i rzucań się jeńca, usiłującego odzyskać wolność, najrzetelniej odnosi zdobycz swemu panu. Niech tylko będą drobne rybki, a z niechęcią rzuca zajęcie: nie lubi, gdy mu przeszkadzają wówczas.

Nasze panie rozochocone przyjemną rozrywką, usiłowały prześcignąć jedna drugą w powodzeniu, a tu na domiar nieszczęścia coraz nowsza niezgrabność, coraz nowsze pomyłki. Obie młodsze córki Shabundera były tak samo jak moja żona niedoświadczone w tej zabawie. Raz jedna wypuściła ptaka nie zarzuciwszy mu sznurka, i uwolniony z wszelkich więzów kormoran raczył się, nieuważając na rozpaczliwe gwizdanie, to znów druga posłała na połów okiełznanego obrączką. Wybuchy śmiechu witały każdą taką niezgrabność. Co zaś do mojej żony i jej wioślarza, ci najwięcej dawali powodów do ogólnej wesołości.

Józef jak zwykle, musiał się wszędzie wkręcić. Zrobiwszy w ciągu dnia na wieczorne wystąpienie wszelkie przygotowania w swoim kunszcie kucharskim, zmartwiony, że musiał siedzieć gdy ja robiłem objażdżki, stanął na czatach i śledził czy nie zoczy co ciekawego. Widząc ludzi przechodzących z ptakami, domyślał się czegoś niezwykłego i poszedł za paniami. Gdy przyszło wsiadać do czółen, podniósł stanowczą opozycję. On swojej pani nie powierzy żadnemu wioślarzowi, on za nią odpowiada. Musiano zgodzić się na jego usługi. Ale biedny chłopak, spryt mu nie dopisywał, bo oprócz wiosłowania, nic nie mógł pojąć z całej roboty, i zamiast pilnować ptaków, dozwalał im w całej swobodzie spożywać przyniesioną część połowu.

Pomimo nieszczęść i pomyłek, łup był wcale obfity. Łososie nakrapiane, w wielkiej masie zamieszkujące ujście Irrawady, ryby zwane języka-mi, mnóstwo galów, które zastępują tu kiełby, i są niedłuższe nad 4 do 6 cali i lśniąco srebrzyste, z podłóżnemi pręgami z różnokolorowych kropek, napełniały kosze.

Panie siadły z nami do łodzi i wróciliśmy do domu, żartując i śmiejąc się całą drogę z niefortunnych wypadków naszych nowicjuszek. Ponieważ toalety pań wymagały niejakich poprawek, wszyscy udali się do swoich apartamentów; w pół godziny byliśmy zebrani u stołu.

Moi dwaj chłopcy w strojach zastosowanych do okoliczności, weszli pompatycznie, jeden z dymiącą w wazie zupą, drugi na półmisku niósł mięsa i jarzyny z rosołu, artystycznie ułożone. Józef istny Vatel, z zupy chlebowej i krajowego ryżu stworzył wyśmienite consomné, którego cała familja odjeść się nie mogła, szczególnie Shabunder był niem zachwycony.

— Ta zupa jest jeszcze lepsza od tej, którą nam podałeś dnia poprzedniego. A pokazałeś memu kuchmistrzowi sposób przyrządzania jej? zapytał Józefa.

— O tak Maha! ale on nie dobrze zrozumiał... ja mu dam jeszcze lekcję.

— Proszę cię niezapomnij.

— Nie ma obawy Maha, — i mój murzyn pysznię się z odebranej pochwały znikł, zapewne spiesząc do przygotowań dalszego wystąpienia. Potrawy podawane modą birmańską na stępowały po sobie, aż znowu wszedł Józef na scenę. Z łososia zrobił matelote à l'étusée, gale usmażył przepysznie, filety z solów dał na smaku wodnej paproci podlane galaretą, i zaostrzone w miarę rukwią rzerzuchową, za co odebrał sute pochwały.

— Ja nie znam kormorana — wtrącił z udaną skromnością – ale ja łowię ryby jak kaczka dzika słowo honoru!

— Zobaczymy, czy prawdę mówisz — zawołał Shabunder — spiesz się, zjedz swoją wieczerzę, a pójdziesz z nami.

— Lugle także Maha... Lugle dobry kamrad.

— Niech będzie i Lugle, skoro sobie tego życzysz. Idźcie teraz, i trzymajcie się w pogotowiu.

Wieczór był ciemny bez gwiazd, księżyc później dopiero miał zejść, po objedzie udaliśmy się nad przystań, tam łódź odmienna od tej, która nam rano służyła, stała w pogotowiu. Dwa rzędy lamp kolorowych z jedwabnej cienkiej i przejrzystej materji, maczanej w roztworze zabezpieczającym od zapalenia, okalały pomost, rozwidniając noc. Józef i Lugle stali już w pogotowiu, ostatni w dużym koszu niósł przedmioty, o których całość dbał z widoczną troskliwością.

Odbiliśmy od brzegu, cichość panowała głęboka, niebawem coraz wyraźniejszy plusk dał się słyszeć i w koło łodzi wypłynęły hufcami ryby przypatrując się światłu naszych latarni, a pod uderzaniem wioseł, rozpryskiwało się tysiące iskier. Były to w masie ciekłe gazy substancji zwierzęcej; wodoród zfosforyzowany, wprawiony w ruch, zapalał się wchodząc w zetknięcie się z powietrzem. Zatrzymaliśmy się w pośrodku stawu, panie zarzuciły ręczne sieci, i w niespełna kwadransa nabrały wcale ładną porcję ryb.

— Teraz na ciebie kolej Józefie — rzekł Shabunder.

Chłopcy byli już gotowi, zagadnieni przewiesili spiesznie torby przez ramię, poprosili o ogólne milczenie, i ostrożnie weszli w wodę. Pływając, puszczali się to w prawo to w lewo; niebawem powrócili wysypując ze sakwi dwa tuziny rybek, które oszołomione jaskrawem światłem naszych latarni, dały się chwytać rękami. Śmiech ogólny powstał na widok tak mało znaczącej zdobyczy.

— Maha! — zawołał Józef z ognistą gestykulacją – ja nie jestem kormoranem, ale ja umiem brać ptaki dzikie, słowo honoru!

Wesołość wzmogła się. Shabunder uproszony przez Józefa kazał skierować łódź na mniejszą głębię. Nachyleni nad poręczą Józef i Lugle, wpatrywali się uważnie w powierzchnię wody, po niejakim czasie kazali stanąć, lampy zestawili w dwie grupy, i z koszyka wydostali wydrążone tykwy z otworem w spodniej części. Zasadziwszy sobie na głowę to dziwaczne nakrycie, spuścili się do wody. Wedle głębokości, raz pływając to brnąc, uważali, aby tykwy tylko widoczne na powierzchni zdawały się pływać same, popychane wiatrem. Światło lamp odbijało się w szklistych falach długą smugą jasności, i dozwalało nam czas jakiś śledzić ruchy tych oryginalnych czapek. Widzieliśmy jak sunęli wspólnie, później rozdzielili się w dwie przeciwne strony, aż nareszcie znikli zupełnie, wyszedłszy po za obręb świetlany.

Niebrakowało wrażeń podczas tej sceny, bo wśród ciemnej nocy cała natura pogrążona w ciszy głębokiej, odzywała się od czasu do czasu nieodgadnionemi głosami, przemawiając jakąś groźną tajemniczością. Łódź nasza przybierała w pośrodku szerokich wód pozór fantastycznego zjawiska, odzwierciadlając migającem światłem różnokolorowe swe lampy. Osoby na niej stały nieruchome, jakby w oczekiwaniu czegoś niezwykłego, przysłuchując się z natężoną uwagą głosom przerywającym ciszę nocną. Coraz odmienny krzyk dolatywał nas, powtarzany echem, to przeraźliwy i rozgłośny, to chrypliwy, przytłumiony; czasem szmer liści i poruszanych wiatrem gałęzi lub niewytłumaczony pisk długo brzmiący, rozlegał się w powietrzu. Po niejakiej chwili przygłuszony szelest, niby chrząst ostry, powstał z głębi wód, jak gdyby gromada gaviali płynęła pod naszemi stopami. Obie młodsze dziewczyny przygarnęły się troskliwie do ojca, starsza chciała szukać opieki pod skrzydłem matczynem, wtem spojrzała na asesora i stanęła; widocznie przed nim starała się okazać odwagę dorosłej osoby, której jej w tej chwili brakowało, a może też czekała na inne ramię opiekuńcze? Żona Shabundera i moja pani wzajemnie udzielały sobie niepokojących domysłów, i już chcieliśmy prosić Shabundera, by kazał wiosłować w stronę gdzie znikli moi ludzie, gdy donośne krzyki i nieopisana wrzawa zamąciły panującą ciszę.

— Mój Boże spieszmy na ich ratunek — krzyknęła p. Anquetil — może zostali napadnięci przez krokodyle lub dzikie zwierzęta.

— Proszę cię mój przyjacielu, nie traćmy minuty czasu — wtórowała gospodyni.

— Uspokójcie się moje panie, już rozkazy wydane — rzekł Shabunder.

Marynarze pochwycili za wiosła, i łódź sunęła szybko w domniemanym kierunku. Wrzawa wzmagała się coraz bardziej, krzyki głośno i wyraźnie obijały się o nasze uszy. Jeszcze parę uderzeń wioseł, w tem chmara ptactwa zrywa się i przelatuje nam po nad głowy. Wioślarze przyspieszają biegu, i druga falanga niby czarny tuman zakołowała nad nami, nie wiedząc dobrze w którą stronę uderzyć.

— Tędy panie! Ach tędy Maha! kaczki stadami — zawrzeszczał co sił Józef.

Ochłonęliśmy z obawy — Uratowani! zawołały chórem panie. W rzeczy samej murzyn

po brodę w wodzie, łapał na prawo i na lewo cyranki zaskoczone w śnie i ładował niemi obszerną sakwę. Wodne ptactwo przydybane, w nocy niechętnie bardzo rusza się z miejsca, musiały więc być srogo przyparte, skoro się namyśliły uchodzić z noclegu.

Widząc o co idzie, zabraliśmy się także do dzieła, pomagając Józefowi zbierać zwierzynę.

— Teraz panie pójdźmy zobaczyć co robi Lugle... On nie zła głowa, nauczy się rzeczy od razu... Józef bo nie umie z Kormoranem, ale dobrze naśladuje tykwy. Co nieprawda Maha?

— Masz rację Józefie. Twój łup jest znakomity, ale mnie już na ten żart nie złapiesz drugi raz. Nasze panie o mało nie zasłabły ze strachu.

— Ach! ja bardzo żałuję na prawdę. Przepraszam panie i was panienki.

Podczas tej rozmowy zbliżyliśmy się do pola bitwy, na którem uwijał się Lugle z siewkami. Według przepisów swego mentora, Lugle podszedłszy do ptaków, lewą ręką chwytał za łapy, prawą ukręcał szyję, szerząc śmierć między oszołomionem ptactwem. Koniec końców z tej wyprawy więcej jak sześćdziesiąt pierzastych trupów leżało u naszych stóp. Tak się okazało, że polowanie z tykwami nieustępowało w niczem rybobraniu przy latarniach. (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

II.

Nie możemy się skarżyć na tegoroczny karnawał, gdyż mimo paru balowych deficytów, bawiono się doskonale. W prawdzie bal technicki zrobił fiasco, a akademicki nie wiele więcej miał powodzenia, ale też naszem zdaniem, takie popieranie celów nauki środkami choreografji — nie należy do najszczęśliwszych pomysłów. Bądź co bądź karnawał skończył się, a skończył się bardzo hucznie, bo wytańcowane miasto znalazło naśladowcę w orkanie powietrznym, który na przypieczętowanie karnawału tak szalone harce począł wyprawiać po ulicach, że niejednego zmusił do galopady nad program, i niejedna najmniej skora tancerka, musiała wirować po błocie, w objęciach natarczywego tancerza.

Ale ponieważ wszystko mija na świecie, minął i karnawał z orkanem i bale z deficytem — a my z głową posypaną popiołem, z ulżoną kieszenią i niebardzo obciążonem sercem, wracamy do zwykłej pracy...

* * *

(Z) „Z jakim się w dajesz, takim się stajesz“ — o to tytuł, a zarazem i sens moralny trzeciej z kolei komedyjki Fredry (ojca), z szeregu pozostałych po nim utworów. Jestto obrazek ze świata małomieszczańskiego, nie wykwintny ale też i nie wstrętny, trochę zabawny, trochę naciągany — ale w każdym razie należy on do kategorji jednoaktówek niedzielnych, takich jak „Majster i czeladnik“ — nadających się do rozweselania niewybrednej, ale też i nie zepsutej publiczności. Korzyść zaś jaką odnieść mają z tego „przysłowia dramatycznego“ jest ta: że nie należy być zazdrośnym. Państwo Michałowie i państwo Józefowie, byliby sobie żyli drugie trzydzieści lat w najlepszej zgodzie, gdyby nie sąsiad ich Zgaga (p. Dobrzański), który sam trzy własne żony zazdrością na tamten świat wyprawił i jeszcze drugich do podobnego prześladowania żon zachęcał. Żony podsłuchały i postanowiły się zemścić — ale jak? — Od tego jest Justysia, sprytna dziewczyna (p. Zimajer), która Zgagę zawsze puhaczem nazywała a teraz postanawia go w pole wyprowadzić. Komponuje bajeczkę o swoim narzeczonym Fikalskim, który jej niecna zdradą odpłacił, zalecając się do pani Zgagowej — i skłania Zgagę do ukrycia się w szafie, niby dla wyśledzenia owego Fikalskiego, który tu, w domu Michałów(!) miał się zchodzić z jego żoną. Zgaga temu wszystkiemu odrazu wierzy i zostaje zamknięty w szafie. Ponieważ zaś rzucił przedtem podejrzenie w małżeńskie serce obu braci Michała i Józefa, ci ostatni więc, albo raczej zapalczywszy z nich Michał (bo Józef tylko płacze i narzeka) postanawia za przykładem dramatu „Piąty akt“ otruć gacha, o którym jeszcze niema najmniejszego pojęcia (!) i w tym celu kupuje... doniczkę belladonny. Następuje więc scena tłuczenia trucizny w moździerzu, podczas której Zgaga siedzi zamknięty w szafie. Justysia tymczasem wrzuca przez okno klucz od szafy z objaśnieniem na kartce. P. Michał otwiera szafę, wyciągają wystraszonego Zgagę, chcą go truć — na krzyk wpadają kobiety — następują wyjaśnienia, uściski — przy których Zgaga wylatuje za drzwi z nauką na plecach. — Za chwilę wraca, ale już tylko jako p. Dobrzański, przywołany oklaskami publiczności.

* * *

(Z) Druga komedja p. t. „Świeczka zgasła“ ma tylko dwie osoby ale zato bezporównania więcej dowcipu. Pan Kwieciński w charakterze młodego mężczyzny, a pani Nowakowska w charakterze niedającej poznać, że jest młodą, kobiety, jadą sobie karetką pocztową w nocy. Karetka wywraca się w miejscu opustoszałem i bezludnem, młodzi nieznajomi chronią się do chaty i tu się odgrywa cała komedja. Mężczyzna podejrzywając w opakowanej towarzyszce starą pannę, narzeka na świat i na ludzi w ucinanej rozmowie, nadzwyczaj zręcznie prowadzonej. Młodzi ludzie prawią sobie delikatne niegrzeczności, aż do chwili, w której ona zdejmuje z głowy okrycie i pokazuje piękną i inteligentną główkę. Następuje zmiana dekoracji ze strony młodzieńca; z niegrzecznego staje się ujmującym, z ujmującego zakochanym, z zakochanego narzeczonym, gdy tymczasem podczas najbardziej ożywionej sytuacji, świeczka którą ocalił wraz z latarnią od wywróconej karetki, zaczyna gasnąć i... gaśnie na dobre. Widzowie są zaniepokojeni, ale w tej chwili daje się słyszeć trąbka — karetka zajeżdża, narzeczeni wsiadają i kurtyna zapada.

Wyborna ta farsa odznacza się prawdziwie Fredrowskim humorem, który zmusza cały teatr do śmiania się od początku aż do końca. Czyż to nie dosyć?

* * *

(S). Nie zdążyliśmy już nic dodać w poprzednim numerze naszego pisma o trzecim koncercie Henryka Wieniawskiego który miał miejsce w zeszły piątek; czynimy to więc dzisiaj. Koncert ten jak oba poprzednie, był również dla naszego świata artystycznego rzeczą wielkiej wagi. Program jego obejmował cztery dzieła: *Le trille du diable*, wielka sonata Tartiniego; *La Rêverie*, Henryka Vieuxtemps; „Iszy Polonez“, utwór samegoż Wieniawskiego, a wreszcie „Andante“ i „Karnawał Wenecki“, Paganiniego. Oprócz tego, widząc ogromny entuzjazm zebranych, nasz wielki wirtuoz zagrał nam jeszcze nad program swego koncertowego „Mazurka“ i ową klasyczną piękną „Legendę“ o której poprzednio mówiliśmy. Gdyby więc nie odróżniać wspomnianego „Andante“ od „Karnawału“ bo to stanowi dlań niejako rodzaj introdukcji (tak jak w „Karnawale“ Ernsta), to mielibyśmy razem sześć pełnych dzieł odegranych przez naszego mistrza. Ci co je słyszeli, wiedzą dobrze jaki to był dla nich ogromny benefis.

Zaraz na wstępie uwaga wszystkich musiała się dzielić pomiędzy myśli autora a ich interpretację. Ten szczególniejszy dramatyczny ton wielkiej Sonaty Tartiniego, uderzał nas dziwną jakąś oryginalnością. Żeby go sobie bliżej określić, trzebaby chyba postawić obok niego, który ze śpiewów dantejskiego „piekła.“ Tak jak tam pod zmarszczoną brwią króla Lucyfera piekielni robotnicy a hardzi potępieńcy, mimo że chętka ich brała cały Ereb roztrzaskać, musieli się hamować w stłumionym, drżącym jęku, tak podobnież i tutaj, pomimo że każda pojedyńcza myśl widocznie chce się spotęgować w siłę, rozszaleć, to jednak w sobie się tłumi, do ziemi obniża a tylko już konając gniewnie, przeciągle lecz z cicha zawarczy. Dopiero pod koniec, jak gdyby dla charakterystyki ogólnej jakiejś klęski a boleści pozwala autor na krzyk wielki, ostatni, i tu dopiero najściślej się zjawia na wyrażenie tej sceny ów *trille du diable* — jak go wybornie nazwał autor, — tryl istotnie djabelski tak pod względem myśli jakie wyraża, jak również pod względem egzekucji, wzmagając się, ciągle uderzany na dwóch strunach, aż do ogromnego *fortissimo* w najrozmaitszych a nadzwyczajnie trudnych kombinacjach.

Po tym ponurym dramacie przyszło „Marzenie“ Vieuxtama, istne arcydzieło łagodnej, erotycznej melodji. Czy takiem jest ono rzeczywiście, czy też tylko takiem się nam wydawało pod smyczkiem Wieniawskiego, niewiemy. To jednak pewna, że egzekwowane przez tego wielkiego wirtuza sprawiało nam wrażenie jak gdyby śpiewu rozkochanej Psyche.

Z kolei przyszedł potem Iszy Polonez, utwór samego Wieniawskiego. Dzieło to jako wieniec myśli polskich nie dosięga zapewne nadzwyczajnych pod tym względem piękności IIgo Poloneza, o którym przed kilku dniami pisaliśmy, ale jednak tak jak jest, ze swoją charakterystyczną synkopą, z zacięciem prawdziwie polskiem, stanowi bezwątpienia jedno z najpiękniejszych *alla Pollacca* jakie gdziekolwiek spotykamy. To też ogromne brawa i oklaski posypały się ze strony publiczności na podziękowanie jego autorowi a razem wykonawcy. Uznanie wreszcie to szczere bardzo się opłaciło, bo koncertant przywoływany po raz trzeci, trzęsącemi całą salę oklaskami, wyszedł z miną, którąby Francuz nazwał *une bonne grâce parfaite*, i zagrał nam Mazurka. Ale objaśnijmy ten wyraz, bo inaczej dla tych co niebyli na owym koncercie nie byłby on dokładnie zrozumiałym. Gdy się mówi, że Henryk Wieniawski zagrał jakiego „Mazurka“, „Mazura,“ „Kujawiaka“ czy jak go zresztą kto nazwie, to znaczy, że wówczas chodzi o pewną improwizację, pospolicie krótką, w której się zawsze znajdzie *molto* mazowieckiego hołubca i cała jego żywa opisowość, nieraz nawet ze stroj eniem skrzypek naszego poczciwego wiejskiego

grajka i z uderzającej wierności charakterystyką całego przebiegu ochoczej naszych kmiotków pohulanki. Ale to wszystko wyraża się w układzie tak trudnym, tak wysoko koncertowym, że na wykonanie czegoś podobnego porwać się może tylko skończony wielki artysta, a razem Polak duszą i sercem. Słyszeliśmy raz bowiem jak sam Vieuxtemps grał fantazję z „Halki:“ koncertowość była wielka, „Halki“ niebyło tam wcale. A cóż dopiero gdyby ów wirtuoz zechciał charakteryzować żywcem naszego wiejskiego oberka? Te rzeczy więc tylko nasi artyści podejmować mogą; Wieniawski zaś w tej mierze jest nieporównany. Wreszcie obok zachwycającej charakterystyki o której mówimy, wprowadza on nadto do tych koncertowych sielanek, prześliczne a czysto polskie motywa swego własnego utworu, które same przez się i dla siebie są również wielkiej ceny.

Ostatniem dziełem podług programu był „Karnawał Wenecki“ Paganiniego; rychło jednak bo już w pierwszej połowie wszyscy się opatrzyli, że dalsze warjacje były raczej układu samegoż koncertanta aniżeli mistrza genueńskiego. Szalone trudności, jakie tam powprowadzał Wieniawski, zostawiły pierwowzór na sto sążni w tyle. To też pod koniec, z każdą warjacją rósł podziw słuchaczy, a gdy przyszły staccata z ich nie ochybnemi nutami, jakkolwiek te były do atakowania w najwyższych już tonach, gdy przyszły owe niesłyszane chyba jeszcze nigdy kombinacje *pizzicato* lewą ręką i *arco*, a nakoniec owa warjacja z jednoczesnemi trylami uderzanemi bądź na spadku gryfu, bądź między gryfem a podstawką, tak, iż dla smyczka już prawie miejsca na strunach nie stawało, a wszystko z największą czystością i z zachowaniem pełnej śpiewności tonów, zdumienie obecnej publiczności nie miało granic. Znowu więc grzmoty oklasków i frenetyczne brawa, znowu też nowy dla publiczności benefis, tą razą znacznie większy niż poprzednio, bo mistrz nam zagrał swoją nieocenioną „Legendę,“ a wielu się zdaje, że ją zagrał jeszcze więcej po mistrzowsku i z jeszcze większem niż przedtem uczuciem. My zaś sądzimy, że jeśli to dzieło zjednało sobie teraz jeszcze większą sympatję, to głównie dla tego, że je po raz drugi słyszeliśmy; jesteśmy nawet pewni, że w niem by coraz nowe uwielbiano piękności, ale niestety, na to by potrzeba żeby nam je zawsze tłumaczył sam Wieniawski, bo utwory jego dla artystów, których dziś i u nas słuchać możemy, są do wykonania za trudne, prawie niedostępne.

* * *

(Z.) Henryk Wieniawski opuścił już nasze miasto i dziś daje koncert w Krakowie, ażeby następnie ruszyć w świat, na północ, podobno aż do Sztockholmu. Mieliśmy zamiar pożegnać go prozą tylko, ale p. Platon Kostecki uczynił toż samo w piękniejszej formie, dla tego też nadesłany nam uprzejmie wiersz, drukujemy poniżej w całości:

Henrykowi Wieniawskiemu.

Mistrz gra... słuchajcie! A strzeżcie swej duszy
Baczniej, niż branki król w zaklętej wieży!
Czary odżegna, zamki pieśń pokruszy
I z branką-siostrą w gwiazdy powieruszy...

Mistrz gra... Słuchajcie! Ton za tonem bieży...

To jak iskra piorunu
Z chmury na chmurę skacze;
To w powiciach całunu
Cicho żali się, płacze;
To jak Mazowiaczek cięty
Podkówkami krzesze;
To jak z wyżyn łask mąż święty
Błogosławi rzeszę;
To z roztęsknionym szczebioce słowikiem;
Rozpacza jak serce za młodu;
To dziejowym okrzykiem
Boleśnego grzmi narodu...

Archanielskie antyfony,
I szatanów wycia,
I godowe dzwony,
I całą gorycz, całe szczęście życia
Z strun wywodzi mistrz natchniony!

Minione boje wspominają starzy,
O szabli Barskiej chmurny młodzian marzy,
Roi o wiecznej wierności dziewica,
Złocą się matki zadumane lica,
I mgłą moczaru namiętność opada;
Kolczate groty łamie troska blada,
W wypogodzonej duszy czyn dojrzewa...
A ciągle tonów mistrz na strunach śpiewa...

Błogosławionaś chwilo w niebowzięcia!
Jak król za zbiegłą z niewoli królewną,
Szle czarodziejskie, napróżno, zaklęcia...

Ziemię rzuciła jak szatę powiewną
Dusza — i wraca do swojej kołyski:
Zkąd purpurowe miota grom pociski,
A dalej słońca goreją w przestworze,
W błękitach gubi się przestrzeni morze,
A za kresami czasu — duchy białe
Śpiewają Stwórcy wszechharmonji chwałę.

Mistrz dawno skończył... a z uniesień szczytu
Dusza powoli na ten padół wraca,
I wspomnieniami raju, słońc, błękitu
Celę więzienną mai i wyzłaca.

Błogosławiona bądź chwilo zachwytu!
Błogosławione bądźcie, struny święte!
Wy tony jasne, z natchnienia poczęte!
I błogosławion bądź nam, Mistrzu, bracie!

W szarą godzinę, w weselnej komnacie,
W czynów zapale, i w łez czarnej dobie,
O Twoich skrzypkach wspomniemy i Tobie!

Lwów d. 9 lutego 1877.

Platon Kostecki.

* * *

(K.) Komitet tegorocznej wystawy rolniczej we Lwowie daje coraz więcej znaków życia. W ostatnich czasach posiedzenia odbywały się dość często. Dowiadujemy się, iż za ogólną zasadę rozdziału kosztów, przyjęto oszczędzać ile tylko można na zabudowaniach, a natomiast wyznaczyć dla wystawców sowite nagrody.

Na jednem z dawniejszych jeszcze posiedzeń podał ks. Adam Sapieha wniosek zmierzający ku wydawaniu przez czas trwania wystawy, gazety poświęconej jej sprawom. Otóż chodzą pogłoski, że wniosek ten spotkał w łonie komitetu opór, i że wydawnictwo ma być zaniechane, z powodu trudności jakie się nastręczają przy tego rodzaju publikacjach czasowych. Prawda! chętnie przyznajemy, że są trudności, ale przecież zawsze przy wprowadzeniu myśli pożytecznej napotykają się przeszkody do zwalczenia i zawsze... trzeba trochę popracować! Zresztą mając na oku trudności, trzeba zwrócić uwagę, i to głównie, na pożytek publiczny, który ich zwalczenie przyniesie może. Koszta takich wydawnictw nie są nadzwyczajne, a pożytek szczególniej widoczny dla tych, którzy nie zasiadają w komitecie, nie widzą rozwoju wystawy, nie znają jej związku najbliższego z krajem, słowem, są zwykłą publicznością. A ta ostatnia, zwidzając wystawę zadawalniać się musi zaspokojeniem codziennej ciekawości, bo nie ma przewodnika, któryby jej wskazywał, na co ma zwracać szczególną uwagę, któryby z tysiącznych nagromadzonych przedmiotów umiał wskazać rzeczy typowe i pouczające. Wyobraźmy sobie jednego podróżnika wybierającego się dajmy na to do Włoch, z katalogiem opisującym wszystkie istniejące drogi, gmachy, świątynie, galerje, bez wyjątku, z katalogiem nie wskazującym rzeczy wybitnych, a drugiego z książką Bädekera, która mu powiada gdzie ma iść i co zobaczyć. Łatwo osądzić, który z nich więcej skorzysta. Otóż takim Bädekerem, takim umiejętnym przewodnikiem powinna być dla zwidzających projektowana gazeta; bez jej pomocy z wystawy głównie korzystać tylko mogą specjaliści, wystawcy i członkowie komitetu.

Jeżeli zresztą komitet ma za wiele do czynienia, i sam nie może podjąć się tej pracy redagowania, to sądzimy, że znajdzie między naszymi specjalistami niejednego takiego, któryby zadaniu temu mógł godnie odpowiedzieć. Co się na to wyda, to nie będzie straconem. Takie publikacje rozchwytuje publiczność na wystawach zagranicznych, a zresztą jeżeli u nas się coś dołoży, to zyskają na tem masy, oprowadzane po wystawie przez światłego przewodnika.

* * *

(Z) W tej chwili dowiadujemy się, że bawiący w naszem mieście znakomity artysta Józef Rychter zamierza urządzić w przyszłą niedzielę wieczorek muzykalno-deklamacyjny na którym między innemi usłyszymy „Tyrteusza“ Anczyca. Nie wątpimy że publiczność licznie się zgromadzi, oddając hołd tak sympatycznemu i zasłużonemu artyście.

Piśmiennictwo polskie.

(*Roztrząsania i opowiadania historyczne przez Józefa Szujskiego. Kraków 1876.*)

(*Dokończenie*).

Krótki odczyt p. t. „Pielgrzymka Ottona III do Gniezna r. 1000“ napisany zwięźle pięknym językiem, przedstawia w zarysie stosunek wzajemny trzech ówczesnych mocarzy: papieża Sylwestra II, Ottona III i Boelsława Chrobrego. Niemieccy kronikarze nie mogli przebaczyć młodemu Ottonowi, że na zjeździe z Bolesławem u grobu św. Wojciecha w Gnieźnie, uwieńczył polańskiego księcia królewską koronę. Dostało się także od nich i papieżowi Sylwestrowi II, który był motorem całej sprawy, jednemu 'z najgienjalniejszych ludzi swego czasu. P. Szujski podnosi przyjazną dla Słowian politykę Ottona w przeciwieństwie do słowianożerczych margrafów i przypisuje ją wpływowi polityki rzymskiej. Zgoda: położylibyśmy tylko, zamiast wyrazu „polityki rzymskiej“, „polityki Sylwestra II“. Myśli przewodniej przychylnej Polakom trudno w owych czasach w polityce papieskiej dopatrzyć: była ona specjalną własnością Sylwestra II, a następnie o tyle się objawia, o ile interesa papiestwa z cesarstwem nie idą w parze.

Cztery odczyty miane w krakowskiem muzeum techniczno-przemysłowem p. t. „Historyczne wędrówki po Krakowie“ uważać można

za krótko opowiedzianą historję stolicy Jagiellonów. Głównie wprawdzie zajmuje się autor Krakowem w wiekach średnich, ale główne daty doprowadza do 18. wieku. Nadzwyczaj w tych prelekcjach ważne i ciekawe wiadomości o mieszczaństwie krakowskiem, o cechach i zwyczajach sławetnych, o prawie magdeburskiem, justycji, milicji i t. d. Rozwój przewilejów miasta i stopniowy ich upadek przydstawiony systematycznie i jasno. Czytając prelekcje pana Szujskiego człowiek czuje się przeniesionym w odległe owe czasy, widzi ogromny ruch w rękodzielniach, o których obecnie słabe zaledwie mamy wyobrażenie, czuje owe zamarłe życie, przed oczyma jego przesuwają się poważne postaci panów majstrów, wchodzi między czeladź, do burs żakowskich: słowem pełny i żywy obraz bawi i uczy. Z urywanych faktów i szczegółów, jak z małych kamyków mozajka, tworzy się całość plastyczna. Odczyty te jak słusznie zaznacza autor w przedmowie, mieszczą wiele wskazówek do badań ledwie u nas rozpoczętych, dla tego mają one cechę samoistnej źródłowej pracy. Oprócz szczegółów znanych, ujętych w piękną i zręczną formę, p. Szujski czerpał ważne wiadomości z manuskryptów bibljoteki Jagiellońskiej, sięgających bardzo odległych czasów. Jak dwie poprzednie rozprawy, tak samo i „Charakterystyka Zygmunta Augusta“ jest odczytem. Sam tytuł wskazuje, że nie jest to praca oparta na źródłach, tylko roztrząsanie oparte na powszechnie znanych faktach. Kilkoma śmiałemi konturami rysuje autor wielką postać ostatniego z Jagiellonów, którego śmierć uważać trzeba za początek upadku Polski. Za Zygmunta Augusta słońce Rzeczypospolitej dosięgło zenitu, po nim świeciło jeszcze jasno, niejednokrotnie nawet rzucało rażące promienie, oślepiające sąsiednie narody, ale każdy przyzna, że chyliło się już ku zachodowi. Dynastja Jagiellonów, silna ludźmi z energją i talentem, połączona węzłami familijnemi z sąsiedniemi mocarstwy, mająca na usługi dzielnych wojowników i zdolnych mężów stanu, postawiła Polskę na szczycie potęgi. Po niej rozpoczął się powolny rozkład potężnego ciała Rzeczypospolitej. Rzeczywiście, gdyby dynastja Jagiellonów trwała była dłużej, zupełnie innym torem poszłyby dzieje nasze, byłby się rząd ustalił, a niedorzeczna elekcyjność nigdy nie byłaby doszła tak potwornych form, jak to się wkrótce stało.

Również ważną jak „Stosunki dyplomatyczne Zygmunta Augusta z dworem Austryjackim“ jest ostatnia z kolei praca traktująca o misji dyplomatycznej Jerzego Ożarowskiego, posła stronnictwa Leszczyńskiego na dworze francuzkim w r. 1735|36. Jest to pierwsza w swoim rodzaju praca w naszym języku; zapasy dyplomatyczne między Ożarowskim, a wszechwładnym ministrem Ludwika XV. kardynałem de Fleury, cała misterna sieć rokowań o poparcie i subwencję dla Leszczyńskiego, a wszystko przedstawione na podstawie nieznanych listów i dokumentów szczegółowo i zajmująco. Pod względem wartości jest to jedna z najlepszych rozpraw z całego zbioru.

Przyszliśmy do kresu naszego sprawozdania: sądzimy że każdy z czytelników wyrobił już sobie zdanie o wartości książki p Szujskiego, pozostaje nam tylko rozrzucone przy każdej z rozpraw uwagi zresumować w ogólną ocenę. Sumienna praca, głęboka znajomość przedmiotu, wykład jasny i gruntowny cechują wszystkie pomieszczone w tym zbiorze prace. Niektóre z nich mają wielką wartość dla historyka, wszystkie zaś nawet dla laików stanowią pożyteczną i przyjemną lekturę. Są między niemi takie, które zbliżają się do Szajnochowskich szkiców, są i takie, które śmiało postawić możemy obok wzorów nowoczesnego dziejopisarstwa. Szkoda tylko, że gdzie niegdzie fantastyczna jednostronność doprowadzona za daleko psuje korzystne wrażenie. Taka rozprawa jak „Dawna rzeczpospolita i jej pogrobowce“, napisana tendencyjnie i namiętnie, ziejąca niechęcią przeciw gorętszym narodowym porywom, nie powinna zaswędzać pięknego tego zbioru. Mimo to jednak nie cofamy pochlebnego zdania wyrażonego powyżej, dobro ogólne i prawda historyczna kierują nami: dla tego też polecamy szczerze dzieło p. Szujskiego wykształconej publiczności! Czytelnik łacno odróżni prawdę od fałszu, zboże od kąkolu: a czystych, pełnych i ciężkich ziarn sporo w książce p. Szujskiego. *B. Czerwieński.*

LISTY DO PRZYSZŁEJ NARZECZONEJ.

(Ciąg dalszy.)

Zacząłem myślą przebiegać wspomnienia, i oto naraz znalazłem się na ostatnim balu w Kasynie, wśród dźwięków orkiestry, na tle barwistych ogonów i czarnych fraków. „Tam ją ujrzałem“ — lecz wcale nie rozkochany, byłbym pozwolił jej przesunąć się bezkarnie po hory zoncie mego życia, gdyby nie zdanie jednego znajomego, który ją nazwał najpiękniejszym kwiatem z tego wieńca wdzięków naturalnych i sztucznych. Od tej chwili zacząłem ją śledzić wzrokiem; a trzeba dodać na moje potępienie, że znałem ją już dawniej, że chętnie z nią tańczyłem, nie zdając sobie jednak sprawy z tego co czynię. W tej chwili czułem, że mogło się to trafić tylko takiemu safandule, jakim ja się stałem, stroniąc od wszelkich towarzystw kobiecych i towarzysząc moim kuzynkom jedynie z poczucia obowiązkowej grzeczności, od której niezawsze umiałem się wykręcić. Na dobitek mojego safandulstwa, muszę wyznać, że entuzyjastyczny wykrzyk mego znajomego, pobudził tylko moje oczy, które bezustannie za nią biegały; ale zamiast większego zbliżenia się, spowodował nawet pewne zażenowanie wobec ponętnej tancerki, którą tym razem młodzież rozrywała zapamiętale. Prawdopodobnie z tej właśnie przyczyny, że stałem na uboczu, gdy inni dobijali się o nią, zwróciłem na siebie jej stronę. Kilkakrotnie rzuciła okiem w moję stronę, jak gdyby chciała powiedzieć: czemuż ten niedołęga nie nadskakuje mi tak jak inni? Ale były to spojrzenia dorywcze tylko — tańczyła bez odpoczynku, śmiała się, żartowała — a mnie tymczasem, nie wiedzieć dlaczego, ta jej wesołość gniewać zaczynała. Powiedziałbym nawet, że wcale mnie nie zachwycali młodzieńcy, którzy najwięcej się starali o zyskanie jej względów; niemniej jednak, z lenistwa czy też z braku odwagi, pozostałem do końca balu na uboczu.

Od tego czasu widywałem ją dosyć często, coraz bowiem słabiej ulegałem naciskowi moich kuzynek, i coraz częściej uczuwałem potrzebę towarzystwa.

Lecz teraz znowu się zaczęły samotne wieczorne marzenia przy fajce. Karnawał minął — trzeba było odrabiać zaległe roboty literackie — i znowu uczułem pustkę koło siebie. Dopiero w tej chwili, gdy obłoki dymu pierzchły, i gdy zacząłem rozważać senne zjawisko czarnych oczu, uczułem jakby ukłucie elektrycznej iskry i uderzając się w czoło, zawołałem:

O nierozważny człowiecze, jakże mogłeś tak prędko zapomnieć!..

Prawda! spotkałem ją nawet wczoraj, gdy z matką wracała z kościoła, a w powitaniu jej przyjaznem choć krótkiem rozpoznaję teraz cień wyrzutu. I ja mogłem tego nie zrozumieć! Nie, tak być dłużej nie może. Gdzie moje kołnierzyki, krawaty, rękawiczki!.. Ubieram się i — idę.

Panna przyjęła mnie swobodnie i wesoło, a mama uprzejmie, jak zwykle. Ja, przeciwnie, czułem, że jestem nudnym — byłem jak nieswój, prowadziłem rozmowę zbyt poważnie i urywanie tylko, zdawało mi się bowiem, że wszystko co mnie otacza inaczej się dziś przedstawia. Czerwony obrus w białe kwiaty nigdy nie leżał tak krzywo jak dzisiaj. Wpatrywałem się w jego fałdy, skubałem jego brzegi i czułem nieprzepartą chęć sprostowania jego rogów, tak jak gdybym miał prawo gospodarowania w tym obcym dotychczas dla mnie domu. Gdym spojrzał na lampę, żałowałem, że nie filuje, bo miałbym wielką przyjemność w tem, gdybym mógł przykręcić jej śrubkę; czułem, że byłoby to niejako rozszerzeniem moich atrybucyj w tym domu. Ale lampa paliła się najprzyzwoiciej w ściecie, a na stole zastawionym różnemi przyborami do herbaty, niepodobna było przedsiębrać wspomnionej wyżej poprawki. Wszystko to gniewało jakąś cząstkę mojej duszy — ale najwięcej gniewało mnie to, że mimowoli oglądałem wszystko co mnie otaczało: zdawało mi się, że powinienem wiedzieć, jaką materją pokryte są meble i jak są zawieszone firanki. Suknia mojej towarzyszki miała na piersiach dwie ukośne kieszonki, do których co chwila powracało moje spojrzenie. Przypatrywałem im się, mimowolnie przechylając głowę i to właśnie w chwili, kiedy pytała mnie o wrażenie, jakie zrobiła na mnie primadonna opery śpiewająca główną rolę w Aidzie. Brak związku pomiędzy losem Aidy, a ukośną kieszonką z niebieskiemi brzegami był widoczny, i to mnie właśnie gniewało. Żałowałem, że nie było kogoś, coby mnie nieznacznie trącił łokciem w bok, przywołując do porządku moje myśli. Tymczasem rozmowa toczyła się równie machinalnie jak te moje wewnętrzne dystrakcje i, co gorsza, panna zdawała się zupełnie nie spostrzegać moich dziwacznych myśli; a nawet ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, zdawała się być zupełnie zadowoloną z mojej sztucznej konwencyjonalności. Nie mogła nie widzieć, że zwykła moja swoboda w rozmowie uleciała, ale to jej owszem dodawało humoru i życia. Mówiliśmy o balach w karnawale, o odczytach w poście, o nowych powieściach Kraszewskiego, wreszcie — o Serbji i o księżnej Natalji, przyczem we wszystkiem zgadzaliśmy się najzupełniej, i to — najłatwiej w rzeczach najtrudniejszych do zgody. Jestem prawie pewny, że i ona myślała zupełnie o czem innem, prowadząc rozmowę na mocy wprawy, z ożywieniem, które musiało powstawać w łonie ukrytych myśli, a zewnątrz łączyło się z wyrazami. Wyobrażam sobie, że miny nasze musiały być bardzo podobne do tych, jakie mieli Ignatiew i Salisbury na wstępnej konferencji stambulskiej...

Co z tego wszystkiego wyniknie? pytałem sam siebie, wracając do domu. Wojna czy pokój na wspólności interesów oparty? Po długiem chodzeniu wzdłuż i wszerz moich apartamentów, złożonych z jednego pokoju rzeczywistego i kil-

kunastu piętr eterycznego gmachu moich marzeń, postanowiłem przedsięwziąć kroki stanowcze, celem zbadania przeciwnika. Zmęczony chodzeniem, usiadłem przed biurkiem i spostrzegłem na niem list do przyszłej narzeczonej.

A gdyby tak, zebrawszy się na odwagę, przenieść urojenie w rzeczywistość?

Odczytałem list, który, rzecz dziwna, zupełnie się nadawał do okoliczności. Spostrzegłem wprawdzie, że to co uchodziło odnośnie do istoty urojonej, raziło w zastosowaniu do prawdziwej panny na wydaniu. List, jeżeli nie był niegrzeczny, to przynajmniej poszanowaniem form towarzyskich, nie grzeszył. Ale co mi tam formy! Człowiek myślący powinien być zawsze w zgodzie z sobą, i, jeśli uznał za właściwe z głębi przekonania pisać to lub owo do idealnego obrazu swej narzeczonej, to nie powinien się wstydzić tego samego wobec kobiety, w której przyszłą narzeczoną przeczuwa.

Za chwilę postanowienie moje skrystalizowało się. Przepisałem list i posłałem miejską pocztą.

Zrobiłem pierwszy krok śmiały a ważny: *alea jacta est*, — stało się.

Nie będę opisywał niepokojów przeplatanych uczuciami ufności, gdyż łatwo je zrozumieć; przez dwa dni byłem nastrojony gorączkowo, robota mi nie szła a rozrywek szukać nie chciałem. Aż oto trzeciego dnia odbieram list następującej treści:

Łaskawy Panie!

Jesteś Pan impertynent i spodziewam się że mnie nadal uwolnisz od swej korespondencji.

Równie bezstronna.

*

Przyznam się, że po odczytaniu tego listu miałem minę niezbyt inteligentną; byłem jak to mówią, zdekonfiturowany. Gdy jednakże, obracając list na wszystkie strony, przeczytałem go poraz drugi, trzeci i dziesiąty, widokrąg moich myśli zaczął się wyjaśniać. Zauważyłem najprzód, że list był napisany starannie, czysto i z pewnem wykończeniem. Przywołałem na pamięć wszystkie wiadomości psychologiczne, jakie kiedykolwiek zdobyłem, oraz własne doświadczenie w pożyciu z kobietami, i doszedłem do przekonania, że kobieta, któraby chciała tylko pozbyć się natręta, alboby wcale nie odpisała, alboby odpisała niedbale, z lekceważeniem, nietylko już w treści ale i w formie. Tymczasem do mnie, z poza pięknych liter liściku, zaczęła się wychylać uśmiechnięta twarz mojej korespondentki, wcale nie licująca z surową na pozór treścią pisma. Zdawało mi się, że słowa „jesteś pan impertynet“ mogły być napisane tylko z uśmiechem na twarzy. Przytem wyraz Pan przez duże, piękne P wcale nie zdradzał gwałtownego oburzenia; po trzecie, spodziewała się, że ją uwolnię od mej korespondencji, ale nie od mej osoby... Wreszcie przypisek „równie bezstronna“ świadczył najwyraźniej, że nie chce być srogą. O tak! zawołałem radośnie — to jest tylko napomnienie, to nie jest odprawa. Siadłem i zacząłem pisać.

LIST II.

Szanowna Pani!

Wiadomo, że jesteś najpiękniejszą kobietą we Lwowie. Czyżby piękność nie miała być symbolem dobroci? O tak! I gdyby mi przyszło prosić o przebaczenie za krok nierozważny, ręczę, że w niczyjem sercu nie znalazłbym tak wiele wyrozumiałości. Ale tym razem nie myślę się do niej uciekać, nie poczuwam się bowiem do nierozważnego kroku. Owszem, to co uczyniłem, było dziełem długiej rozwagi, i — może tylko zbyt wielkiej odwagi. Winienem też dodać, że odwaga ta nie opuściła mnie dotychczas, i że postanowiłem przypuścić nowy szturm do... chciałem napisać: do serca, ale byłoby to niewłaściwie — owszem, do rozumu Szanownej Pani. Cokolwiek się stanie w przyszłości, nie sądzę, ażeby bezstronne rozbieranie konsekwencyj obecnych stosunków miało być impertynencją. Zbyt wysoko cenię umysł Pani, ażebym miał wątpić, że to co powiem rozsądnego, chociażby było nieco dzikiem, nie będzie źle przyjętem; jeżelibym zaś przy tej sposobności i coś nierozsądnego napisał, to mam nadzieję, że Pani raczej błąd mój zbije dowodami, aniżeli moje dobre chęci sumarycznie potępi.

W tej nadziei zaczynam, a raczej — prowadzę rzecz dalej.

Nie raczyłaś mi Pani odpowiedzieć na zapytania co do Jej fizycznej natury; pytania więc te pozostawiam w zawieszeniu i przechodzę do następnych. A najprzód — do kwestji nieco pokrewnej z pierwszą: piękności fizycznej. Jest ona mniej ważną niż kwestja zdrowia, a w stosunkach między obu płciami dotychczas ważniejszą nawet rolę odgrywa.

Młodzi ludzie pobierają się, jeśli się sobie podobają wzajemnie. Takim jest normalny proces rzeczy, jeśli wyłączymy z niego to, co jest właściwie anormalnem, chociaż niestety zbyt pospolitem, mianowicie — związki dla pieniędzy lub przez próżność. Ale i w tem bezinteresownem podobaniu się, cóż głównie wchodzi w rachubę? Czy uznanie dla przymiotów duchowych, i cielesnych dających rękojmią zdrowia? Nie — na to mniej się zważa. Głównym czynnikiem podobania się jest piękność zewnętrzna. Wprawdzie pospolite mniemanie przypisuje przeważnie mężczyznom tylko chęć ubiegania się za pięknością kobiet, te zaś mówią częściej, iż w mężczyźnie piękność nie wiele sobie cenią. Zdawałoby się to świadczyć za głębszym poglądem kobiet; ale niestety — tak nie jest. Świadczy to tylko o większej kapryśności w ich estetycznych poglądach. Mężczyźni nierównie częściej zgadzają się w uznaniu za piękną kobiety, niż kobiety odnośnie do mężczyzn. Pierwsi, w każdem kółku znajomych mają uznane słońca piękności niewieściej, około których krążą jak planety; drugie przeciwnie, bardzo często obdarzają swemi względami tych, których bynajmniej ogół mężczyzn za pięknych nie uważa. Ręczę, że gdyby się Pani zechciała porozumieć z przyjaciółkami swemi co do tego, którzy z aktorów lwowskich są przystojni lub piękni a którzy nie, z pewnością trudniej by jej to przyszło, aniżeli mnie porozumienie się z mojemi przyjaciółmi co do piękności lwowskich artystek.

Na zasadzie tych i tym podobnych, nieraz powtarzanych spostrzeżeń, śmiem twierdzić, że u mężczyzn, podobnie jak u kobiet, podobanie się znajduje podstawę głównie w piękności zewnętrznej tylko, ocenianej stosownie do gustu i temperamentu. Jeżeli zaś tak jest, to wcale nie będzie zbytecznem zastanowienie się nad tem, o ile taki stan rzeczy wytrzymuje chłodną krytykę rozumu. (C. d. n).

Z Torunia.

Toruń w Styczniu 1877.

(Dokończenie).

Darujcie czytelnicy, żem zanadto odbiegł od głównego celu niniejszego pisma: opisania, w jakim stanie znajdują się dzisiaj niektóre osobliwości Torunia. Nawiasem dodam jeszcze, że opis ten będzie o ile możności wierny i rzetelny.

Za przyjazdem do Torunia, zaraz nazajutrz korzystając z dnia świątecznego, poszedłem oglądnąć ów sławny pokoik wielkiego naszego astronoma. Domu, w którym się on znajduje, znaleźć nie trudno, na jego froncie bowiem wmurowaną jest marmurowa tablica, opiewająca w języku, dla mojego ucha mniej dźwięcznym od kałmuckiego, że w tym domu dnia 18 lutego 1473 r. urodził się Mikołaj Kopernik. Chcę wejść przez bramę — zamknięta, dzwonka nie ma i mimo że południe, dopukać się nikogo nie mogę; obchodzę więc dom dokoła, szukając drugiego wejścia — napróżno, bo go nie ma; jedyną otwartą komunikacją wnętrza domu z ulicą jest sklep, a raczej szynk, z zewnątrz prezentujący się nader niekorzystnie. Chciałem się już wrócić, jednakże ciekawość przemogła wstręt — wszedłem, oglądając się na wszystkie strony, ażali kto na mnie nie patrzy. Wewnątrz zastałem pełno żołnierzy, posługaczy, stróżów itp. proletarjat, pijący piwo i wódkę, ćmiący szkaradne cygara i fajki; brudno, błotno, dymno, słowem ostatniorzędna knajpa. Pytam się stojącego za szynkwasem pachołka, czy w tym domu rzeczywiście znajduje się pokój, w którym się urodził Kopernik? „Tak! tak!“ odpowiada mi z niemieckim akcentem, „proszę pana dalej.“ Przez ciemny korytarzyk, utknąwszy po drodze z powodu ciemności o beczkę ze śledziami, wszedłem z szynkowej izby do leżącego obok, sklepionego niewielkiego o dwóch oknach pokoiku, będącego także szynkowną tylko cokolwiek porządniejszą izbą. Ujrzałem w niej siedzącego za kantorkiem opasłego Niemca, pytam go, gdzie jest ten pokój, w którym się urodził i mieszkał Kopernik? „Ten oto, w którym jesteśmy“ odrzekł łamaną polszczyzną. Zdumiałem się. Jakto? więc tutaj w miejscu jego urodzenia taka knajpa? Zgroza! nikomu bym nie wierzył, gdybym tego własnemi oczyma nie oglądał; wejrzawszy w szczegóły, w małej alkowie, gdzie stało zapewne jego łóżko, zobaczyłem stągwie i cebrzyki; tam, gdzie stały jego sprzęty, stoją obecnie ławy i stoliki z porozstawianemi na nich kuflami, pozalewane piwem; tutaj, gdzie on ujrzał światło dzienne, gdzie lata chłopięce pędził, gdzie mieszkał i pracował, schodzą się obecnie Niemcy pić piwo i rozwodzić przy niem kłótnie i burdy! Oburzenie owładnęło mną. „A gdzież jest starożytne umeblowanie pokoju?“ — „Ech, to dawno wyrzucone!“ odpowiedział mój interlokutor, machając ręką. Wyrzucono jako stare, bezużyteczne zapewne graty, z wyjątkiem tylko małej szafki, bo ta wmurowana w ścianę, więc się wyrzucić nie dała; jednakże i u tej drzwiczki są już inne, a ona sama, zapewne na znak poszanowania pamiątki, obrócona na skład szklanek od piwa! „Więc dziś już żadna pamiątka nie pozostała tutaj po Koperniku?“ — „Pozostał tylko jego obraz“ i wskazano mi wiszący nad drzwiami starożytny i zakopcony dymem tytuniowym portret astronoma. I on mi się wydał w tej chwili jakby smutnie spoglądającym na to miłe mu pewno gniazdo rodzinne, z którego Niemcy zrobili przybytek pijaństwa! Tak „pielęgnuje miasto“

tę drogą pamiątkę, tak Niemcy czczą pamięć Kopernika, którego przez lat tyle napróżno nam wydrzeć usiłowali! Zaiste! jest to najwięcej mówiący dowód, ażali istnieje między Niemcami a nim jakiekolwiek choćby najmniejsze pokrewieństwo ducha. Gdyby dom ten był w polskich, włoskich, francuskich lub angielskich rękach, byłby z całą starannością w pierwotnym stanie utrzymany, genjuszów bowiem takich, nie tylko ich własny naród, ale i wszystkie prawdziwie cywilizowane ludy czczą i wielbią, i starają się cześć tę okazywać na zewnątrz. Niemcy tylko inne pod tym względem mają zasady; oni jedni zdolni są pomniki własnych nawet poetów obrzucać błotem (Szyllera w Berlinie), a tem więcej pogardzać wszystkiem, co pamięci i sercu innych narodów jest drogiem; boć nie napróżno przecie są oni *apostołami i pierwszymi bojownikami cywilizacji!* Bardziej szyderczej ironji nie znajdzie bezwątpienia nikt w dziejach całej nawet ludzkości!

Stanisław Jastrzębiec.

POGADANKI.

XXII.

Hulankami, czterdziestogodzinnem nabożeństwem i „weselem czarta“ jadącego na siedmiu rozmaitych wichrach, zakończył się karnawał r. 1877. Już we wtorek rano żaliło się jedno z pism codziennych, że poprzedniej nocy wiatr szczególnie gwałtowny obalał danserów, wracających z balu. Już w poniedziałek po południu można było przed kościołem OO. Jezuitów widzieć tłumy gapiące się na niewiasty wchodzące i wychodzące z tego przybytku. Każdy czytelnik gazet, oswojony ze złośliwością kronikarzy, w pierwszym z tych wypadków upatrywał raczej ukrytą alluzję do fallimentów pochodzących raczej z braku podmiotowej równowagi, niźli z przedmiotowego tejże nadwerężenia. Co do drugiego objawu, już z góry nie wróżono sobie nic dobrego, wiadomo bowiem, iż Niebiosa przed dwoma jeszcze laty dały nam wcale niedwuznacznie do poznania, jak dalece wstrętną im jest hipokryzja, modląca się za cudze grzechy, popełnione przez *chaine des dames* albo hołubca, podczas gdy, jak wiadomo, człowiek skacząc grzeszy mniej, niż stojąc, siedząc, lub leżąc, i gdy kilkogodzinne rozpamiętywanie marności światowych w półcieniu, budzi w nim więcej zdrożnych myśli, niźli wir ochoczej zabawy w pełnem świetle gazowem.

* * *

Nie obeszło się i tym razem bez kary. We wtorek po południu zerwał się naraz jeden z najbardziej szalonych orkanów, jakich doświadczyć można w tej równinie północno-europejskiej, tak oddalonej od Oceanu. Pierwsze zaraz tchnienie mroźnego boreasza przemieniło zalane wodą ulice i chodniki w jeden ogromny *skatingrink*, po którym wicher miotał najrozmaitsze statki i niestatki, pozbawione kompasu, steru i żagli. Tu widziałeś lekką korwetę, niesioną na skrzydłach akwilona, od sklepu Bratkowskiego ku hotelowi Żorża. Po drodze, udało jej się zarzucić kotwicę o słup od latarni. Obejmuje go tkliwie, ściska, tuli się do niego, podczas gdy wicher szarpie jej boki, zrywa jeden pokład po drugim, i odsłania nakoniec szkielet wiotkiej budowy. Tam dwie fregaty usiłują holować jedna drugą do bezpiecznej przystani, walczą dzielnie z rozhukanym żywiołem, przeciwstawiają mu cały ciężar swojego balastu — wszystko nadaremnie! Jedno silniejsze dmuchnięcie, a fregaty najeżdżają na statek wojenny, niemniej mozolnie szamocący się z burzą — słychać okrzyk przerażenia, i fregaty wraz z linjowcem, szyniony, pałasz, zarękawki, ostrogi, tworzą opłakany obraz zamięszania i zniszczenia. A tymczasem, z poza wielkiej szklannej szyby, przypatruje się temu wszystkiemu z uśmiechem jeden i drugi mistrz sztuki łyżwiarskiej, i ani mu w głowie pospieszyć na ratunek skołatanym łodziom. A z dachów lecą tafle cynkowe, ze sklepów szyldy, z głów kapelusze, dorożki tańczą walca, kołyszą się kominy... strach, co się dzieje! I znowu, jak przed dwoma laty, wszystko krupi się na kościele OO. Jezuitów. Wicher wyrywa okno i kaleczy sześcioro ludzi.

* * *

Szczególnym zbiegiem okoliczności, a może i nieszczególnym, ale naturalnym, wydarzyło się właśnie w tych dniach parę wypadków samobójstwa przez powieszenie. Zabobon ludowy przypisuje wisielcom powstanie wichru. Kto wie, czy to zabobon? Kto wie, czy nie istnieje jaki związek rzeczywisty między temi wypadkami, tylko że mniemany skutek, tj. wicher, jest właśnie przyczyną samobójstwa? Niektóre stworzenia mają tak drażliwe nerwy, że przeczuwają każdą zmianę powietrza. Być może, że ludzie, mający skłonność wieszania się, czują zbliżanie się burzy, i że stan atmosfery wpływa na rozwinięcie się choroby, której rezultatem jest samobójstwo, dokonane przez powieszenie. Wszak statystyka dowodzi, że niektore rodzaje samobójstwa grasują prawie epidemicznie: objawy podobne, obok przyczyn moralnych, mogą mieć i fizyczne. Zbadawszy tę rzecz dokładnie, będziemy może kiedyś w stanie za pomocą barometru oznaczyć porę, w której należy zwracać szczególną baczność na indywidua objawiające skłonność do pozbawienia się życia za pomocą najbrzydszego ze wszystkich sposobów, służących do tego celu.

* * *

Mniej tragiczna epidemja, ale zawsze epidemja, zapowiedziała swoje pojawienie się z końcem zapust. Jest to epidemja *strike*'ów. Pierwszą jej ofiarą padli — młodzi oficerowie rezerwy i obrony krajowej. Nikt nie zaprzeczy, że mundur i broń zdobi mężczyznę. Uważano nawet, iż młodzi ludzie, którym przysługuje prawo pojawienia się, według upodobania, w mundurze, albo w ubiorze cywilnym, z pewną predylekcją przypinają się do szabelki, przy sposobnościach nie wymagających koniecznie tak marcyalnego wystąpienia. Nieraz na zabawach prywatnych, młodzieniec, o którym wczoraj przypuszczałeś, że pędzi spokojny żywot wśród fascykułów z aktami, w tem albo w owem biurze, lub też mniej od siebie dorosłej młodzieży wykłada tajemnice konstrukcji *accusativi cum infinitivo*, występuje nagle jako pierworodny syn srogiej Bellony, z mieczem *halsstejflikiem*, i innemi morderczemi przyborami. Strój ten, uwydatniający figurę lepiej od cywilnego, podoba się płci pięknej, i nie trudno dostrzedz, że najpiękniejsze oczka zwracają się z upodobaniem w stronę błyszczących guzików. Ale, jak mawiał któryś z *borytelów*: *Każdaja ricz imijet swoju szatenzajtu.* Taką *szatenzajtą* dla młodego wojownika jest wieczór oficjalny, na którym co krok spotkać można złoty kołnierz sztabsoficerski, lub kapelusz z papuziemi piórami, zwiastujący z daleka obecność jenerała. Wobec takich wielkości, cała świetność podporucznikowska staje się rzeczą znikomą i zaledwie godną uwagi, a frak wraca do zapoznanych praw swoich. Pod frakiem może bić serce księcia, hrabiego, lub barona, pod mundurem o jednej gwiazdce bije serce waleczne wprawdzie, ale zawsze tylko serce podporucznikowskie, demokratycznie zapomocą złotego temblaka, zrównane z podporucznikami wszystkich rodzajów broni. Otóż, gdy komenda naczelna zażądała ażeby pp. oficerowie rezerwy i obrony krajowej pojawiali się na wieczorach oficjalnych w mundurze, na następnym wieczorze oficjalnym nie widziano z nich żadnego. Był to *strike* milczący, który bodaj nam nie zwiastował całego szeregu innych! Z tem życzeniem, wstępujmy w okres Gorżkich Żalów i postu.

Jan Lam.

Podróż na około ziemi.

Sprawozdanie z odczytów prof. dr. S. Syrskiego.

(Ciąg dalszy.)

Już na Adrjatyku, oba okręty „Fryderyk“ i „Dunaj“ były miotane przeciwnemi wiatrami. Trzeba było kilkakrotnie chronić się do portu. Raz zawinięto na wyspie Meledzie, potem do portu wojennego Grawozy, dla nabrania węgli. Po 10cio dniowej podróży o godzinie 12 w nocy okręty wpłynęły do portu Messyńskiego. Tylko część portowa miasta Messyny jest dobrze zabudowana, reszta jest bez porządku i nieczysta. Wysiadający, obskoczony jest zaraz na brzegu sprzedającymi najrozmaitsze owoce; odrazu ma się przed sobą produkty roślinne tych okolic. Są tu pomarańcze, cytryny, figi zwyczajne, i tak zwane figi berberyjskie, które są owocami pewnego rodzaju kaktusa. Ludność jest średniego wzrostu, i nie odznacza się pięknymi rysami; cera jest nieco brunatna, wyraz twarzy oznacza pewne przygnębienie.

Pod przewodnictwem pilota wypłynęły oba statki z portu i po cieśninie Messyńskiej wzdłuż wschodniego brzegu Sycylji, posuwały się aż do jej wschodniego przylądka. Ztąd udano się w kierunku północno-zachodnim i opłynięto od północy wyspę Stromboli, słynną swym wiecznie wybuchającym wulkanem. Jest to niewielka wyspa stożkowata, z której szczytu wychodzą bez przerwy kłęby dymu, a od czasu do czasu pokazuje się żar ciemno-czerwony, który pochodzi od roztopionej lawy wypychanej na wierzch prącemi od dołu gazami. Gazy wybuchają w kształcie dymu na zewnątrz, a lawa rozżarzona wpada napowrót do krateru.

W dalszym ciągu podróży, morze zaczęło się niepokoić, trzeba było użyć węgli do poruszania statku; żagle już nie wystarczały. Ale z powodu braku miejsca, węgli było tylko na dni kilka i niedługo zapas był bliski wyczerpnięcia. Zapytano z „Fryderyka“ admirała bawiącego na „Dunaju,“ czy można zawinąć do Algieru w celu nabrania węgla. Otrzymano odpowiedź odmowną; lecz nie długo wiatry przeciwne jeszcze się wzmogły, „Dunaj“ znikł z oczu i „Fryderyk“ nolens volens musiał zawinąć do Algieru.

Rozmowa między dwoma okrętami na morzu, odbywa się w sposób bardzo prosty. Używa się do tego sygnałów, które się układają z ośmnastu różnokolorowych chorągiewek, rozwieszonych na linie. Na kongresach ułożono słownik odpowiedni i za pomocą tych 18 chorągiewek można ułożyć 80.000 słów.

W Algierze musiał „Fryderyk“ zabawić z powodu przeciwnego wiatru, i ciągłych burz na morzu śródziemnem, przez całe 5 dni. Otrzymano depesze z „Dunaju,“ iż zawinął on na wybrzeżu hiszpańskiem do portu Kartageny.

Czas pobytu w Algierze był przeważnie dżdżysty; było dość chłodno i temperatura opadała do 10° C. Lato w tych okolicach jest nadzwyczaj gorące, a we wrześniu panuje i tu często silny wiatr południowy Sirocco. Temperatura jest wtedy nieznośnie wysoka

(dochodzi do 45°), niebo czerwienieje od pyłu naniesionego wiatrem, liście drzew się zwijają, sprzęty drewniane pękają, gardło wysycha i męczy człowieka okropne pragnienie.

Miasto Algier wznosi się amfiteatralnie na zachodnim brzegu przystani. Część dolna miasta jest prześlicznie zabudowana, ulice brukowane, oświecone gazem, domy prawdziwie europejskie. Część górna miasta inaczej wygląda. To siedlisko Maurów, Arabów, Kabylów i w ogóle miejscowej ludności. Uliczki niektóre tak wąskie, że promień słońca nigdy tam nie zagląda. Spotyka się tu ciągle sklepiki, warstaty różnych rękodzielników, miejsca schadzek, gdzie Arabowie zwykli siedzieć bezczynnie na ławkach, ze skrzyżowanemi rękami.

Z osobliwości Algierskich na szczególną uwagę, a przedewszystkiem na uwagę podróżnika, zasługuje Muzeum krajowe przyrodnicze i przemysłowe. Dyrektorem tego zakładu jest obecnie kobieta, pani Loche, która kieruje nim wyśmienicie. Założycielem tego muzeum był jej mąż, który darował rządowi własne zbiory przyrodnicze.

Godnym uwagi jest także ogród aklimatyzacyjny, w którym zajmują się hodowaniem strusiów, uprawianiem bambusa i w ogóle przyswajaniem roślin i zwierząt zagranicznych.

Po pięciu dniach pobytu, pogoda się ustaliła, i „Fryderyk" popłynął do Gibraltaru, na spotkanie „Dunaju," który już tam zmierzał. W Gibraltaże zatrzymano się dni 7 od 14go do 21go listopada.

Gibraltar, jest to skała wapienna na 1439 stóp wysoka, w której, jak w grocie Postojny, wiekowem działaniem wody wymyte zostały galerje podziemne. Anglicy, do których ta skała należy, rozszerzyli te galerje, porobili otwory na zewnątrz i umieścili w nich działa broniące przejścia przez cieśninę dzielącą Europę od Afryki. Miasto Gibraltar rozłożone na pochyłości zachodniej, robi przykre wrażenie. Spotyka się na każdym kroku sztywnego, wymundurowanego jak lalka żołnierza, wszędzie stosy olbrzymie kul i setki dział. A tymczasem w mieście liczącem 20.000 mieszkańców nie ma ani jednej księgarni, i jeden tylko introligator, który zajmuje się przedewszystkiem oprawianiem książek do nabożeństwa.

(C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Chrośnicki J. Anioł złego, nowela. 8ka str. 110. Lwów. Nakład Ruchu literackiego 1877. 50 cent.

— Gralewski Mateusz. Kaukaz. Wpomnienia z dwunastoletniej niewoli. Opisanie kraju. Ludność. Zwyczaje i obyczaje. 8ka str. 80. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej 1877. 1 zlr.

Zeszyt ten, który jest początkiem obszernego dzieła o Kaukazie, zawiera: Wstęp. Ogólny pogląd jeograficzny, historyczny i etnograficzny. Płaszczyzna kaukazka. Płaszczyzna kumykska.

— Jeż Teodor Tomasz. Za króla Olbrachta, powieść historyczna. 8ka str. 359. Nakład Red. Niwy. 1877. 3.35 ct.

— Kraszewski J. I. Powieści historyczne III: Bracia zmartwychwstańcy, powieść z czasów Chrobrego 3 tomy. 8ka str. 22. 221 i 240. Warszawa. Spółka księgarzy 1877 cena 5 zlr.

— Kraszewski J. I. Starosta Warszawski. Obrazy historyczne z 18 wieku. 3 tomy 8ka str. 241. 241 i 225. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1877. 5 zlr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Listy z kraju.

(Ciąg dalszy.)

Z Rohatyńskiego.

Doświadczenie jest matką rozumu — czemu nas ono niczego nie może nauczyć?

Nie dadzą się wprawdzie zaprzeczyć dobre chęci i usiłowania; powiedzieliśmy przecie, że robi się nawet więcej niż można. Widzimy zaprowadzony przymus szkolny, lubo niema dostatecznej ilości już nie zdolnych ale jakich takich nauczycieli, lubo też nie ma pomieszczenia ani dla jednej czwartej części obowiązanych do uczenia się dzieci. Widzimy następnie w zakresie szkolnictwa wymarzony ideał autonomji, posiadający armję kilkunasto-tysięczną radców szkolnych, nieumiejących wprawdzie abecadła, ale którzy jako najpierwszy obowiązek uważają uwolnienie swych własnych jakoteż krewnych i kumów dzieci od obowiązku szkolnego. Przynajmniej o tyle usuwają szkopuł pomieszczenia w szkole obowiązanych do tego. Nie powiemy, że widzimy inspektora szkolnego, bo ten grzęznąc po rozbitych w błocie drogach, za nim podoła objechać kilkaset szkółek powierzonych jego nadzorowi, i pokazać się w pewnej miejscowości, potrzebuje na to lat kilka. Wolno statystyce być z nami w sprzeczności... Czytaliśmy raz w urzędowym statystycznym wykazie ziemiopłodów jednego ze wschodnich powiatów Galicji, że taka a taka dokładną cyfrą oznaczona ilość drzewek oliwnych jest uprawianą w powiecie. Lecz niech nas nie łudzą martwe cyfry; żywe przykłady mówią inaczej — zostawione bez nadzoru szkółki ludowe zdane są jedynie na łaskę, na dobrą wolę i miarę poświęcenia nauczycieli. Nie dadzą się zaprzeczyć wyjątki, ale tu o regule jest mowa. Oczom więc przedstawia się smutny widok poronionego płodu dobrych niezaprzeczenie chęci, ale jako nieubłagana konsekwencja w samem założeniu z mylnego punktu wyjścia. Ustawodawca zanadto oparł się na teorji, a nie starał się wniknąć w stronę praktyczną, nie rozpoznał z góry terenu i właściwości stosunków, wśród których jego projekt miał być w czyn zamieniony; ztąd zamiast korzyści wynikają szkody, które nie łatwo dadzą się naprawić. Lud nasz nie znający słodyczy owoców oświaty, ponosi na jej cele znaczne ofiary, zaprawia swe usta cierpkością, a niewidząc zgoła żadnych rezultatów ani korzyści, z dniem każdym nabiera coraz więcej wstrętu i odrazy a przytem żalu do starszej swej braci, która mu próżnych dołożyła ciężarów. Z ręką na sercu przyznajmy się do tej smutnej prawdy, że oświata u nas idzie raczym krokiem, zamiast postępu — cofa się haniebnie. Wina ostatecznie ciąży tu na całym kraju — niechcemy poznać drogi prawdy, drogi obowiązku, a trzymamy się uparcie ścieżek ostateczności któremi są: ofiara albo interes. Przyznajmy, że ten ostatni wchodzi tu najbardziej w grę i główną gra rolę. Jedni, drudzy i wszyscy prawie uważają lud nieoświecony jako narzędzie, którego podług z góry ułożonych teoryj chcieliby użyć dla dopięcia swych celów, — znają ten lud jedynie z wykazów statystycznych, imponuje im liczba i wzmaga łakomstwo; podług tych samych wykazów zaznajamiają się z uderzaniem jego serca, z wybuchem namiętności, z postępem, lub upadkiem: figurują tu liczby. Toż niedziwota, że jedni, z oddala patrzący a którzy nie znają wcale ludu, apoteozują go, i bijąc czołem wołają: „Lud jest ojcem narodu, który proroczym przemawia głosem, światu przodować ma i na nowe go popchnąć tory". Z przeciwnego znów obozu częstokroć niegodne bożej istoty dobywają się głosy: „Lud stworzony jest na podobieństwo bydła, ciągnąć powinien pług, karczować lasy, tunele kopać i nasypy, w krwawym pocie pracować na wygodę i zbytki, a w razie niebezpieczeństw własną zasłaniać piersią, swym ogromem i siłą". Jedni i drudzy kłamią a znamionują przytem własne niedołęstwo i słabość. Nikt nie zdołał się wyłamać ze szranków tendencyjności, nie starał się tego ludu poznać z życia codziennego i okiem prawdy a miłości badać jego naturę. Nikt nie zawołał tego ludu po imieniu, nie powiedział: oświata ludu to przedmiot tak obszerny a wzniosły, że jako żaden choćby najdalej idący środek, ale jako sam cel uważany być powinien. Co ma być, będzie samo przez się. Bez ubocznych więc myśli trzeba nam wyciągnąć dłoń do ludu, by go dźwignąć z upadku moralnego i umysłowej ciemnoty. Nauka czytania i pisma, udzielanie początkowych wiadomości nie są bynajmniej rozwiązaniem kwestji oświaty ludowej. Obudzenie uśpionej myśli, rozgrzanie zmartwiałego uczucia ku rodzinie i współbliźnim, wpajanie kardynalnych pojęć człowieczeństwa i moralności, a na koniec możliwe rozprzestrzenianie widokręgu — te są główne, zasadnicze oświaty zadania.

Lud nasz, to nieszczęśliwe dziecko rzucone pod płot, zatruwane jadem alkoholu i psute złością ludzką — to sierota bez przytułku i opieki, zbolała i nieufna, bo zna świat jedynie z doznanych krzywd i pogardy. Kto zechce i potrafi temu dziecku zastąpić matkę opiekunkę i ojca nauczyciela? Kto je przygarnie z uczuciem, wzbudzi chęć do pracy, ufność i wiarę w lepszą przyszłość? Nikt inny, tylko ten kto posiada serce zdolne do prawdziwego miłosierdzia i wolę do czynu. Przyznacie, że te warunki dzierżą nasze matki, żony i siostry, słowem nasze niewiasty. W ich to rękach złożony jest przyszły los oświaty i pomyślność naszego ludu. Niewiasty nasze mają rozmotać ten węzeł gordyjski, który jak gaz piekący utkwił nam pod piersią. Z chwilą gdy nauczycielki zlecydują się na posady w szkółkach wiejskich, oświata ludu i wówczas dopiero wejdzie na właściwe tory.

(Dok. nast.)

Odkrycia.

— Przypominają sobie czytelnicy ową sławną mistyfikacyą której ofiarą padło muzeum berlińskie, zakupując za wielką sumę tak zwane starożytności moabickie. Już muzeum przygotowało było osobne sale na przyjęcie cennych zbiorów, gdy raptownie wieść się rozniosła że starożytności te są całkiem nowe; były one dziełem zręcznego podrabiacza w Jerozolimie. Niemieccy jednak uczeni utrzymywali, że te okazy są autentyczne, i było im niezmiernie przykro że błąd ich wykazał uczony francuski p. Clermon Ganneau, który poznał na wazach charakter pisma człowieka, którego używał sam często do przepisywania napisów na wschodzie. Wywiązała się między francuzami a Niemcami polemika, przechodząca z strony niemieckiej granice przyzwoitości, tak że w parlamencie Mommsen wyraził się, iż taki sposób prowadzenia dyskusyi wstyd przynosi uczonym niemieckim. Teraz znów donoszą iż zrobiono w Moab nowe odrycie; tą razą ma ono być autentyczne. Nikt się jednak nie kwapi nauczony doświadczeniem z zakupywaniem tych rzeczy. Selim, tak się nazywa ów fałszerz, służy w tamtych stronach za przewodnika i prowadzi zwykle archeologów do miejsc w których sam pierwej zakopał garnki.

— Dr. Schliemann zrobił kilka nowych odkryć w okolicach Miceny. Odkrył on wejście do podwójnego, ułożonego w kształcie koła cmentarzyska, znalazł w jednym z grobów cztery, bogato ozdobione wazy złote i dwa pierścienie z pieczęciami. Na jednym z nich wyrznięte jest drzewo palmowe i kobiece postacie.

Stowarzyszenia.

— Na wzór istniejących od lat kilkunastu we Francji Caisses de prevoyance, Bank Dyskontowy Warszawski zaprowadza „Kasę przezorności i pomocy" dla urzędników i oficjalistów, w biurze jego pracujących. Podajemy główniejsze zasady tej instucji:

Do kasy przezorności „należą obowiązkowo wszyscy pracownicy banku, pobierający płacę stałą, od której wnoszą 5% w ratach miesięcznych. Także sumę wyrównywającą 5% ogółu płac wszystkich wnosi corocznie zarząd banku. Fundusze kasy wzrastać będą prócz tego, z wniosków dobrowolnych, z ofiar i z procentów 6% od wkładów i pożyczek uczestnikom udzielanych.

Składki samychże uczestników stanowią wyłączną ich własność i w razie wyjścia urzędnika ze służby mogą być w każdej chwili wraz z narosłemi procentami odebrane. Dopłaty banku i ofiary zapisują się osobno na conto każdego uczestnika, który ma prawo odebrać z nich: po wysłużeniu 10 lat połowę, po wysłużeniu lat 15 trzy czwarte a po wysłużeniu lat 20 całość staje się jego własnością.

W razie śmierci uczestnika spadkobiercy otrzymują całkowity przypadający na niego udział bez żadnego ograniczenia.

Na wysoką doniosłość i pożytek tej instytucji zwracamy uwagę naszych czytelników. — Kasy tego rodzaju istnieją już w dobrach hr. Władysława Branickiego w guberni Kijowskiej, i jak słyszeliśmy w Sieniawie.

— Towarzystwo gimnastyczne „Sokół" będzie wkrótce obchodziło dziesięcioletnią rocznicę swego założenia. Uroczystość ta ma się odbyć 25 b. m. i już obecnie robią w tym celu przygotowania.

ROZMAITOŚCI.

— Przemyślny szynkarz w pewnej małej wiosce angielskiej pytał raz podróżującego malarza, który kilka dni zatrzymał się był w jego oberży, ileby żądał za wymalowanie na szyldzie niedźwiedzia białego, ale tak pięknego, aby jego widok przynęcał licznych gości do szynkowni. „Wymaluję wam takiego niedźwiedzia za cztery gwineje" — odparł malarz. „Cztery gwineje?" — powtórzył ze zdziwieniem szynkarz. Ależ pański kolega Taylor żądał odemnie za taką samą robotę jeno trzy gwineje!" „O! że mój kolega chciał wymalować go za trzy gwineje, to mnie wcale nie przekonywa, ale zresztą... jakiegoż to niedźwiedzia chciałbyś pan mieć, dzikiego czy ułaskawionego?" „Dzikiego." „Z łańcuchem czy bez łańcucha?" „Bez łańcucha." „W takim razie wymaluję go za trzy gwineje." W ośm dni potem wisiała nad drzwiami wchodowemi szynkowni czarna tablica, a na niej jaśniał przepyszny biały niedźwiedź, który niebawem zrobił ogromną senzację we wiosce, a nawet okolicy. Niedługo potem straszna burza nawidziła wioskę, i w nocy deszcz ulewny spadł potokami. Nazajutrz skoro świtać poczęło, szynkarz otworzył okiennice, i zaniepokojonym wzrokiem popatrzył na szyld, co się z nim po burzy dzieje, lecz o zgrozo! tablica wisiała wprawdzie cała, ale niedźwiedź, ów piękny biały niedźwiedź, chluba oberży i wioski całej, znikł gdzieś bez śladu. Nieposiadając się ze zmartwienia, pobiegł stroskany szynkarz do malarza przebywającego dotychczas w oberży, i zakomunikował mu tę wiadomość przerażającą. „Czy to był dziki czy łaskawy niedźwiedź?" zapytał go na to malarz chłodnym tonem. „Przecie pan wiesz, że dziki!" „A był na łańcuchu uwiązany?" „Nie, łańcucha nie było". „Więc jakże możesz pan żądać, żeby dziki niedźwiedź, jeśli nie upięty był na łańcuchu, wysiedział na swojem miejscu spkojnie podczas takiej burzy? Jestem przekonany, że nie ma na całej kuli ziemskiej niedźwiedzia, któryby zdolny był do takiej ofiary. Wszelako, jeśli mi dacie żądane pierwej cztery gwineje, to wymaluję wam niedźwiedzia na łańcuchu, który z pewnością nie ucieknie, choćby burza i deszcz trwał nawet miesiąc cały bez przerwy." Szynkarz rad nie rad zgodził się na cztery gwineje, a malarz wymalował mu potem niedźwiedzia, tym razem jednak już farbami olejnemi, a nie jak pierwej wodnemi, które oczywiście silny deszcz zmył do szczętu.

— Henryk III król francuski (rządził od r. 1574—1589) wydawał rocznie na psy i ptaki 100.000 talarów! Między innemi miał trzy nadzwyczaj małe pieski ulubione, które nosił w koszyczku zawieszonym na szyi na wspaniałym łańcuchu złotym. Najprzyjemniejszą jego rozrywką było, gdy mógł sam być w pokoju ze swojemi pieskami. Liline, Mimi i Titi (nazwiska tych faworytów królewskich) sprowadzone z ogromnym kosztem do Francji ze Smyrny w małej Azji, były niezmiernie małe, piękne i przywiązane do swojego pana. Wyuczono je stać na warcie, niby żołnierze, i urząd ten sprawowały z podziwienia godną gracją. W nocy leżały koło łoża królewskiego, i czuwały nad bezpieczeństwem swojego pana. Wiadomą jest rzeczą, że pewien fanatyk, nazwiskiem Jacques Clément, przybył 1 sierpnia 1589 umyślnie z Paryża do St. Cloud, gdzie Henryk wówczas bawił, aby go zamordować podstępnie. Gdy go wprowadzono do gabinetu króla, wrzekomo dla wręczenia listu który właściwie służyć mu miał za pretekst dla łatwiejszego wykonania zbrodni, Liline podniosła się ze swojej poduszki, jak gdyby przeczuwała złowrogi zamiar mordercy, i choć zwykle łagodna i spokojna, a na nikogo nie rzuciła się nigdy w całem swojem życiu, teraz zaczęła szczekać gniewnie i chciała kąsać przybyłego. Król wbrew swojemu zwyczajowi kazał ją wynieść do przyległej komnaty. Wówczas Liline jeszcze bardziej rozdrażniona zaczęła szczekać i warczyć, a w chwilę potem Henryk padł, ugodzony po dwakroć sztyletem. Choć miał jeszcze na tyle siły, że szybko wyciągnął sobie ostrze z rany, pchnięcia jednak były tak śmiertelne, że skutkiem ich umarł nazajutrz.

— W podręczniku Baedeckera dla podróżnych znajdują się następujące szczcegóły ciekawe o handlu księgarskim w Egipcie. Księgarze w Kairze są po większej części zarazem uczonymi, atoli nie tacy fanatycy, jak ich koledzy w Damasku, którzy Chrześcjanom wzbraniają się sprzedawać książki swoje lub czynią to bardzo niechętnie. Nieraz widzieć można uczony świat Kairu zgromadzonym na „mastabach" (rodzaj ganków przed domami) i debatujący całemi dniami nad ważniejszemi sprawami bieżącemi. Niektórzy księgarze trzymają u siebie tylko te dzieła, które sami wydali, inni posiadają także książki, pochodzące z obcych drukarni i nakładu, n. p. z Bulak; wówczas dostają od nakładcy znaczny rabat; mimo to jednak ceny dzieł nie są stałe, i stosownie do popytu zwiększają się lub zmniejszają dość nieproporcjonalnie. Tak np. ostatnie wydanie kairskie „Tysiąca i jednej nocy" zostało od razu zupełnie rozkupione, to też nieliczne egzemplarze, które pozostały w księgarskim handlu, mają olbrzymią stosunkowo cenę. W ogóle stałe ceny nie istnieją w tej mierze, a kto nie wie dokładnej ceny jakiego dzieła, z pewnością przepłaci dobrze nieznajomość swoją. Podobnie jak przy innych towarach, tak i w handlu księgarskim na Wschodzie nie robią wielkiej różnicy pomiędzy starem a nowem, tj. używanem a nie używanem. Na łokcie długie, zapisane litanje stanowią katalog księgarni. Wydania Koranu, który tylko z wielką niechęcią wydawanym bywa Niemuzułmanom, są zwykle w oddzielnym schowku, albo przynajmniej osobno ułożone od reszty książek. Dodać tu jeszcze należy, że na Wschodzie nie ustawiają książek w pułkach szeregami, jak to się u nas dzieje, ale składają je jedne na drugich. Wiele dzieł sprzedają luźnemi arkuszami, i kupujący musi dobrze przeglądnąć nabywaną rzecz, jeśli nie chce oszukać się i kupić sobie książkę zdekompletowaną. Okładki dzieł oprawionych są zazwyczaj skórzene i ze zwykłego kartonu, cenniejsze dzieła trzymają oprócz tego w futerałach z czerwonej skóry baraniej. Tytuły dzieł wypisane są po największej części na kartce przylepionej na okładce.

— Korespondent jednego z dzienników zagranicznych z Jerozolimy w liście z dnia 14 grudnia opowiada między innemi: Przy drodze z Jerozolimy do Betleemu, w pobliżu grobu Racheli, pielgrzym ujrzy na wzgórzu z prawej strony nowe budynki, nad jednym z których od czerwca r. z. powiewa czerwona chorągiew z białym krzyżem, godłem zakonu Joannitów. Pielgrzymi wyznania mojżeszowego często w tem miejscu zatrzymują się przy drodze i wybijają w stronę pagórka pokłony, jednakże nie dla wznoszących się tam obecnie domów miłosierdzia, ale dlatego, że według podania na wzgórzu owem patrjarcha Jakób rozbił swój namiot w czasie, „kiedy o wiośnie przybył do krainy ciągnącej się ku Eufratowi" i gdzie później Rachela po wydaniu na świat „syna boleści Benoniego" życie zakończyła. Pochowano ją według biblji, „przy drodze wiodącej ku Eufratowi, w Betleemie." Na tem wzgórzu tedy, nazywanem niekiedy także „pod wieżą Jakóba" w ostatnich czasach zakon Joannitów założył przytulisko z kościołem. Zakład ten oddany został pod protektorat cesarza Franciszka Józefa, a c. k. generalny konsul w Jerozolimie i kawaler zakonu Joannitów, hr. B. Caboga, z największą gorliwością i poświęceniem służy celom przytuliska na górze Tantura (tak bowiem zwie się owa miejscowość). Obecnie oprócz dyrektora zakładu, hr. Caboga, mieszka tam stały lekarz i kapelan, który cztery dni w tygodniu udziela zgłaszającym się rad lekarskich, i dokonywa operacyj chirurgicznych w razie potrzeby, tudzież rozdziela pomiędzy chorych lekarstwa, rozumie się bezpłatnie. Z Jerozolimy, Betleemu i Betszali, oraz z pobliskich wiosek tureckich tłumnie cisną się chorzy do zakładu w Tanturze, gdzie wszelkie narodowości i wyznania jednakową znajdują opiekę i czynną miłość bliźniego. Od dnia otwarcia przytuliska przeszło 4000 chorych doznało tam pomocy lekarskiej. Szpital, w właściwem tego słowa znaczeniu, t. j. ze stałemi łóżkami, dotychczas jeszcze nie urządzono. Pięknie przyozdobiony, w stylu gotycko-romańskim zbudowany kościółek w październiku został ukończony, tak, że w dzień św. Elżbiety, jako w dzień imienin austrjac. cesarzowej, odbyła się w nim pierwsza msza św. W przeddzień tego zarząd przytuliska otrzymał telegraficzne zawiadomienie, że cesarz przeznaczył na rzecz zakładu w Tanturze z prywatnej szkatuły 57.000 franków.

— Jedyną pamiątką po konferencji zostały w Stambule liczne anegdoty, które kursują bezustannie jeszcze po mieście. Gdy ostatnie posiedzenie konferencji zostało zamknięte — brzmi jedna z nich — począł jeden z tureckich pełnomocników pogadankę z kolegami od tych słów: Parlons académiquement... Chciał dalej mówić, gdy w tem przerwał mu jeden z obecnych reprezentantów: Est-ce, que nous parlons maintenant académiquement? Turek odpowiedział mu twierdząco. Eh bien — ciągnął dyplomata — alors permettez moi de vous dire académiquement, que jamais la Turqie n'a commis une bétise plus grande, qu'en refusant les propositions de Puissances. Czy po tej próbce akademickiego stylu pełnomocnicy W. Porty okazali jeszcze ochotę kontynuowania rozmowy, kronika milczy. Druga anegdota opowiada. Małżonki reprezentantów zagranicznych wyraziły były chęć poznania żon w. wezyra. Tenże zgodził się na to z prawdziwie turecką gościnnością. Zaproszenie miało nastąpić w formie oficjalnej. Sekretarz, któremu to poruczono, był w wielkim kłopocie, jak wystylizować odnośne karty zapraszające. Na koniec obrał formę, której zwykle używał, zapraszając w imieniu swojego szefa. Karty brzmiały więc: Son Altesse le Harem du Grand Vézir a l'honeur etc.

— Tragedja Szyllera „Zbójcy" wywołała, jak wiadomo, po pierwszem pojawieniu się ten skandal, że lipscy studenci skutkiem wybujałego entuzjazmu przepadali za rzemiosłem zbójeckiem. Zebrali się tłumnie i pociągnęli w lasy czeskie, gdzie grali rolę wspaniałomyślnych bandytów. Wiele trudów i zabiegów spełzło na niczem, zanim skłoniono do powrotu młodych szaleńców. Na dziewięć lat przedtem ukazał się „Werther" Goethego, i formalnie wprowadził wówczas w modę samobójstwo sentymentalne. Z „Wertherem" w kieszeni, taki młody marzyciel palił sobie w łeb „z przekonania" lub topił się, napisawszy wprzód dwa arkusze ciężkich i od łez mokrych poezyj. Podobnie i „Nowa Heloiza" Jana Jakóba Rousseau wywołała niejedno nieszczęście wśród swoich czytelników. Nieszczęśliwi kochankowie studjowali pilnie ten romans, a potem z rezygnacją godną lepszej sprawy szli odważnie na śmierć, którą sobie sami sprowadzali. Tak silnie działał na nie jeden umysł słaby, magiczny styl genewskiego obywatela. Roczniki ubiegłego stulecia opowiadają o wielu samobójstwach, które Rousseau spowodował swojemi fantastycznemi opisami. W Paryżu np. powiesiła się 13 letnia dziewczyna, a list, który zostawiła do rodziców, poczynał się od słów: „Duszę moją zapisuję Janowi Jakóbowi Rousseau, a ciało ziemi." I wielki Wiktor Hugo nosi na swojem sumieniu podobną winę. Pomiędzy r. 1830 a 1840 opowiadały dzienniki paryskie o śmierci oficera, który zastrzelił się, a w testamencie prosił usilnie o umieszczenie tych słów na pomniku: Tu leży człowiek, który wierzył w Wiktora Hugo!" Nieszczęsny czytał „Trzy ostatnie dni skazańca," i wyobraził sobie, że nie jest w stanie przeżyć gwałtownego wpływu tego dzieła.

— Pewien zbrodniarz, nazwiskiem Crandall, skazany na dłuższy czas więzienia, uciekł niedawno temu z domu karnego w Alleghany County w Ameryce, co wywołało ogólne podziwienie, gdyż niepodobna było żadną miarą odgadnąć, jakim sposobem z dobrze strzeżonej celi umknąć zdołał. Zbieg, słysząc zapewne o tem zdziwieniu powszechnem, posłał do dyrekcji wspomnianego zakładu karnego, następujące wyjaśnienie pocztą. „Moi panowie! Ponieważ zawsze jeszcze jest dla was tajemnicą nieodgadniętą, jakim sposobem opuściłem was, przeto posełam wam krótką historję mojego odjazdu. Mój modus operandi był następujący: Z celi wydostałem się z pomocą sprytu, po wschodach wbiegłem na górę z błyskawiczną szybkością, przez tylne okno wylazłem potajemnie, i po konduktorze piorunowym spuściłem się na dół jak strzała. Następnie z godnością opuściłem mury lubego miasta waszego, a obecnie grzeję się w blasku słonecznym wolności i zadowolenia."

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję
JÓZEF A. L. LASKOWNICKI.

Treść Nr. 24.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).